Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 16 sierpnia 1936 r. Nr. 33



W ROZSTERCE

Dwie drogi nas rozdzieliły
otchłanią pustą i ciemną
— już nigdy nie będę z tobą,
ani ty ze mną —

Próżno wspominam dzisiaj
to — co się już nie odstanie,
wzięła nas miłość wielka
w swe posiadanie — — —

Niech więc przeminą dzisiaj
smutki, zgłębione żalem, —
niech zgasną jak twe uśmiechy
podobne różowym opalom...

I ani fala wspomnień
miłości mej nie oziębi,
ani ty myśli moich,
ni też ja twoich nie zgłębię.

Nie mogą nas zasmucać
samotność — rozterki nasze — — —
bo miłość trwa i trwać będzie
między przestrzenią — —
a czasem —

J. Baranowski.

MARJAN BRONISŁAWSKI

32)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Świeże ranne powietrze orzeźwiło go cokolwiek. Poczuł, że zaczyna mu się wyjaśniać w mózgu, a równocześnie przypomniały mu się słowa Wintersa, wypowiedziane o Gerberze i Hardenie. A wraz z temi słowami uporczywie powracała myśl, że w razie gdyby policja natrafiła na ślady morderców Piotra Wintersa, tamci dwaj, bogaci i mający wpływy, potrafiliby się wykręcić z podejrzenia i w razie wykrycia, wyparliby się wszystkiego, a on zostałby jedyną ofiarą i musiałby kończyć na krześle elektrycznem.

Myśl ta doprowadzała go wprost do szału. Wiedział dobrze, że Gerber oszukał go przy podziale łupu i przypuszczał, że stało się to za wiedzą Hardena. Nie przeszło mu przez głowę, że właściwie i Gerber został oszukany prze Hardena i już na swoją rękę obdarł jego, dając mu marny tysiąc dolarów.

Do wczoraj jeszcze nie myślał wcale o możliwości wykrycia i odpowiedzialności za morderstwo. Teraz słyszał ciągle jakiś niesamowity głos, mówiący mu, że wkrótce aresztują go, jako mordercę Wintersa i stracą na krześle elektrycznem. Czuł, że powinien uciekać gdzieś, dokąd nie doszła i nie dojdzie wieść o tej sprawie, gdzie nie mogłaby dosięgnąć go ręka sprawiedliwości.

Ale myśli jego nie były jasne i wyraźne. Przesuwały mu się przez mózg w mętnych, niesformowanych obrazach, nad któremi brała górę nieprzeparta nienawiść do Gerbera i Hardena i szalona chęć zemsty.

Doszedł do ulicy, przy której mieszkał, skręcił w zamek i po ogniowej drabince dostał się do okna swego nędznego pokoju. Jak kot cichutko zakradł się do wnętrza i z zadowoleniem przekonał się, że drugi bandyta, z którym dzielił mieszkanie, nie zbudził się jego wejściem. Otworzył szufladę komody, zanurzył rękę w napełniających ją łachmanach i chwilę szukał czegoś między brudną bielizną. Wkrótce palce jego natrafiły na zimny, twardy przedmiot. Był to dużego kalibru, ciemno - niebieski, automatyczny pistolet. Spojrzawszy na śpiącego towarzysza, Poter wyjął pistolet z szuflady wysunął magazyn i z zadowoleniem przekonał się, że tkwi w nim dziewięć ostrych naboi.

Nie zamykając szuflady, wyprostował się; pistolet schował do bocznej kieszeni marynarki i rozejrzał się ponownie po pokoju. Przy łóżku, na którem spał jego współlokator, stało krzesło, a na niem obok paczki papierosów i zapałek, leżała spora butelka złocisto - brunatnego płynu oraz mała strzykawka, zanużona w szklance wody. Przy szklance widniało okrągłe pudeleczko z białym proszkiem.

— Koks! — pomyślał. — A w butelce coś do picia. Tak dawno już nie miałem kokainy...

Ostrożnie wyciągnął trzęsącą się rękę ku pudeleczku i leciuchno uniósł je w palcach.

— Wystarczy na kilka zastrzyków — myślał dalej, sięgając po szprycke.

Podszedł na palcach do stołu, nalał do szklanki odrobinkę wody, wsypał do niej szczypkę białego proszku, naciągnął pełną rurkę płynu, rozkręcił strzykawkę i obnażył lewą rękę aż po łokieć.

Wolno i systematycznie przyłożył igłę strzykawki do ciała i nacisnął, by przebiła się przez skórę. Poczem, zwolna naciskając tłok szprycki, wpędził pod skórę całą zawartość strzykawki.

Działanie narkotyku było natychmiastowe. Po kilku minutach z oczu Potera znikła matowa chmura, twarz nabrała życia i wyrazu energji. Ustąpił grymas przygnębienia i bezsilności; zdawało się, że całe ciało przeszedł prąd jakiś ożywczy. Przestał obawiać się, że śpiący może się lada chwila obudzić. Zresztą nie zależało mu na nim. Nie bał się niczego i nikogo. W mózgu jego dojrzało postanowienie co do załatwienia sprawy z Gerberem i Hardenem. Wiedział już, że nie uda im się zrobić z niego kozła ofiarnego.

— Tak — mruknął prawie głośno. — To mi dobrze zrobiło. Teraz jeszcze wypróżnimy tę butelkę i do roboty.

Pudełeczko i strzykawkę schował do kieszeni, nalał z butelki pełną szklankę wódki i rozkoszując się wonią alkoholu, wychylił szklankę do dna. Zapalił papierosa, wypił resztę wódki z butelki i tą samą drogą, jaką przyszedł, wysunął się z pokoju.

Idąc zaułkami, doszedł pod dom Gerbera.

Był to ładny, dwupiętrowy, murowany budynek, okolony trawnikami, ogrodzonemi żelaznemi sztachetami. Od strony zaułka stał drugi, mniejszy dom, w którym mieściła się zajezdnia dla trzech samochodów Gerbera i mieszkania kilku zaufanych pomocników butlegierskiego potentata.

Poter ostrożnie wspiął się na sztachety, przeskoczył do wnętrza ogrodzenia i przykucnąwszy pod krzakami, nasłuchiwał, czy nie zbudził swym skokiem kogo z domu lub drugiego budynku.

Nie słysząc nigdzie najmniejszego szelestu, powstał i szybkim krokiem przeszedł trawnik, oddzielający go od domu. Znał dobrze rozkład mieszkania Gerbera i wiedział, że sypialnia herszta znajduje się na tylną werandę i spróbował klamki pierwszych z brzegu drzwi. Były zamknięte. Uśmiechnął się lekceważąco i wyjął z kieszeni kilka kluczyków.

Po kilku próbach, natrafiła na właściwy i bez trudu otworzył drzwi, prowadzące do kuchni. Poszedł przez kuchnię, po schodach wszedł na piętro i stanął przed drzwiami sypialni Gerbera.



Jeden z pierwszych asów lotnictwa, Francuz Ludwik Bleriot, zmarł w Paryżu, licząc lat 64. Był on pierwszym na świecie lotnikiem, który odważył się przelecieć kanał La Manche (odcinek morski pomiędzy Francją i Anglją). Było to w 1909 r. Powyżej zdjęcie z chwili kiedy po szczęśliwym przelocie do Anglji, Bleriota wita jego żona.

Na twarzy jego malowała się w tej chwili dzika zwierzęcość. Obejrzał pistolet, sprawdził czy w lufie jest nabój i nacisnął klamkę drzwi, które lekko i bez skrzypnięcia otworzyły się.

Przymknął je za sobą i stanął w sypialni. Z łóżka stojącego w rogu pokoju, doszedł jego uszu odgłos oddechu śpiącego człowieka.

Wkrótce oczy Potera przyzwyczaiły się do panującego w pokoju mroku i mogły rozpoznać sprzęty i śpiącego.

Z pistoletem w ręku, wpatrzony w śpiącego Gerbera, przeszedł po miękkim dywanie do łóżka. Z zaciśniętemi wargami, wykrzywionemi dzikim skurczem bezdennej nienawiści, patrzał niesamowitym, fosforycznym blaskiem płonącym wzrokiem na skroń śpiącego i lubował się myślą, że ma Gerbera w swojej mocy, że jednem pociągnięciem cyngla broni przetnie pasmo życia znienawidzonego szefa w zbrodni.

Już miał pochylić pistolet i strzelić, gdy mózg, podniecony narkotykiem i alkoholem, przyniósł mu na pamięć ów straszny obraz przy podmiejskiej szosie, gdy uderzeniami ciężkiego rewolweru mordował nieszczęśliwego Wintersa....

Owładnięty w zupełności szałem, szybkim ruchem przysunął bezpiecznik broni, podniósł rękę do góry i z całą siłą potężnego ramienia uderzył pistoletem w skroń śpiącego. Uderzenie było tak straszne, że Gerber nie wydał ani jęku. Rozległ się tylko głuchy, tępy

trzask miażdżonej kości i kolba pistoletu zagłębiła się w czaszce Gerbera.

Poter wyrwał pistolet z kości i z uśmiechem na ustach patrzał na sączącą się z potwornej rany krew Gerbera, który zmarł, jak piorunem rażony.

— To jeden — mruknął morderca — teraz kolej na drugiego.

Narzucił kołdrę na krwawiącą głowę zabitego i rozejrzał się po sypialni. W nogach łóżka stała duża, żelazna kasa ogniotrwała. Poter przystąpił do niej i usiłował obrócić rączkę, zastępującą klamkę. Nie drgnęła. Nacisnął kontakt elektryczny. W pokoju zrobiło się jasno.

— Poszukam klucza — szepnął półgłosem. — Musi być w ubraniu.

Ruchami wprawnego rzezimieszka przetrząsł kieszenie ubrania złożonego na krześle przy łóżku i wkrótce trzymał w ręku niewielki, płaski kluczyk od kasy. Otworzenie ciężkich drzwi zabrało mu zaledwie kilka sekund, gdyż kasa była staroświecka, bez żadnych kombinacyj literowych czy cyfrowych.

Wyjął ze skarbczyka kilka paczek banknotów, schował je do kieszeni i dzwi kasy zamknął. Następnie udał się do łazienki, gdzie obmył zakrwawiony pistolet, obtarł ręce i wyszedł z sypialni na korytarz, skąd po schodach dostał się do kuchni na werandę.

W domu panowała dalej najzupełniejsza cisza.

Przebiegł przez trawnik, przedostał się przez sztachety i za parę minut znajdował się w sporej odległości od domu Gerbera.

W oszalałym mózgu nie tkwiła jednak myśl ucieczki. Zdawało mu się, że powinien uciec i skryć się daleko, ale dopiero po załatwieniu rachunku z Hardenem. Nie zdawał sobie sprawy z trudności dostania się do Hardena, o którym musiał wiedzieć, że jest ostrożniejszy od swego współzawodnika w butlegierstwie. Czuł pewność, że równie łatwo, jak mu poszło z Gerberem, potrafi „uśpić" Hardena.

Szedł szybko i upatrywał zajezdni, gdzieby mógł wynająć samochód. — Miał przecież pieniądze i mógł jechać, gdzie zechce.

Była to właśnie pora, kiedy Karol Winters wybierał się z Burskim i Stefanem Lubiczem do Sogana.

Szaleniec doszedł do stacji dorożek samochodowych. W biurze zajezdni widać było światło. Poter bez namysłu wszedł do biura i trzaśnięciem drzwi zbudził drzemiącego przy telefonie chłopaka.

— Chcę wynająć maszynę na całą dobę — rzekł. — Czy masz jaką w pogotowiu?

Chłopak przetarł oczy i spojrzał na dziwnego klienta, który o tej porze przyszedł wynająć samochód.

— Zapłacę, ile zażądasz — mówił gość, wyjmując z kieszeni paczkę dwudziestodolarowych banknotów. — Tylko żywo, bo nie mam czasu do stracenia...

— Ale kiedy teraz niema pod ręką żadnego kierowcy — odpowiedział chłopak.



Ogień olimpijski zapłonął również w Kilonji. Tam też wciągnięto na maszt drugi sztandar olimpijski z tej przyczyny, że w Kilonji w ramach igrzysk olimpijskich 26 państw walczy w zawodach żeglarskich. Na zdjęciu widzimy fragment uroczystości wstępnych.

— Głupstwo. Zostawię odpowiednią sumę, żebyś się nie bał o maszynę. Masz tu dwie setki. Jak wrócę, oddasz mi resztę. Dawaj maszynę!

W oczach chłopaka zamigotał strach. Poznał, że klient nie jest człowiekiem przy zdrowych zmysłach. Chciał sięgnąć do telefonu, gdy Poter szybko wydobył pistolet z kieszeni i zasyczał:

— Chciałem zapłacić, ale widzę, że nie umiesz robić interesów. Teraz wezmę maszynę i bez twojej zgody. Podnieś ręce do góry i cofnij się do ściany!

— Ale panie... — bąkał chłopak w bezgranicznej trwodze, — ja...

— Ręce do góry — powtórzył Poter dobitnie. — Za najmniejszym ruchem, strzelam.

Trzymając pistolet zwrócony w stronę chłopca, przeciął leżącemi na biurku nożyczkami drut telefonu.

— A teraz ruszaj przedemną i pokaż mi, która maszyna jest zdatna do natychmiastowego wyjazdu. Nie próbuj uciekać ani kręcić, bo drogo może cię to kosztować! Ruszaj!

Wylękły chłopak otworzył drżącemi rękami drzwi do zajezdni i wskazał na kilka samochodów, ustawionych rzędem.

— Każdy jest gotów do drogi — wyjąkał. — Niech pan bierze pierwszy lepszy.

— Dobrze. Otwórz wrota.

Chłopak wykonał rozkaz.

— Teraz siadaj i jedź na ulicę. Ja siądę przy tobie. Jeżeli maszyna nie jest w porządku, zastrzelę cię jak psa — dodał, trącając chłopaka w żebra lufą pistoletu.

Wyjechali z zajezdni.

— Jedź prosto przed siebie. Powiem ci, gdzie masz skręcić — rzekł Poter robiąc znaczący ruch pistoletem. — Jazda!

— Tem lepiej. Sam umiem jechać. Ile chcesz za wynajęcie na dwadzieścia cztery godziny?

— Bierzemy po dwa dolary za godzinę, ale wynajmujemy maszyny bez kierowców tylko znajomym, więc...

Samochód pomknął jak strzała. Po kilku minutach Poter kazał chłopakowi skręcić w ulicę, prowadzącą za miasto.

Zanim zupełnie się rozwidniło, byli już w odległości kilku mil od zajezdni.

Poter znał dobrze okolicę i wiedział, że są na właściwej drodze do „Rajskiego kącika".

Gdy minęli ostatnie domy przedmieścia i wjechali na drogę, prowadzącą wśród bagnisk, zarośli i moczarów, szaleniec kazał chłopakowi stanąć.

— Tak — rzekł jadowicie. — Dalej sam pojadę, a ty tu zostaniesz. Żeby ci jednak nie przyszła chętka narobić gwałtu albo telefonować do policji, poczęstuję cię... ot, tem...

Zanim chłopak zdołał się uchylić, na głowę spadło mu ciężkie uderzenie pistoletu. Cios był silny, ale nie tyle, by zabić chłopaka.

Potem wyciągnął chłopca z samochodu, zarzucił go sobie na ramię i zaniósł kilkanaście kroków w przydrożne zarośla.

— Tak, poleżysz sobie tutaj jakiś czas, a zanim cię znajdą, to ja już załatwię wszystko. — Rzucił nieprzytomnego na ziemię i nie oglądając się wrócił do samochodu.

Po chwili maszyna, wioząca oszalałego zabójcę, mknęła z chyżością sześćdziesięciu mil na godzinę w kierunku posiadłości Hardena.

* * *

(Dokończenie nastąpi.)

BRESZKO-BRESZKOWSKI

6)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

— Moje słowo — to dźwięk bez znaczenia... Pan nie wierzy memu słowu i ja sam nie wierzę... Najlepszą gwarancją jest moja nienawiść do Chana. Nienawidzę go bardziej, aniżeli Barbasan, już chociażby dlatego, że jestem mądrzejszy od Barbasana i bardziej wyrafinowany. Ale to pana mało obchodzi. Pan chce mieć Chana Mugańskiego. Otrzyma go pan i odda Barbasanowi do zlikwidowania. Tak, a teraz raczy pan zwrócić mi mój rewolwer i odprowadzić mnie do taksówki.

— Pocóż mam pana odprowadzać? — z niedowierzaniem i pewną dozą obrazy zapytał Eskobedo.

— Po pierwsze, będę jeszcze z dziesięć minut w pana zachwycającem towarzystwie, a powtóre na tem pustkowiu mogą mnie napaść...

— Któżby tu napadł...

— A chociażby ci dwaj wasi morowcy...

— Ależ panie! To są najuczciwsi ludzie...

„Którzy podzieliliby się z tobą mojemi pieniędzmi!" — pomyślał Gafani.

Plan porwania Ammałata dojrzał w jego głowie. Prosty, jak wszystko skomplikowane. Gafani namówi Chana na wieczorną wycieczkę do Nowej Kartaginy. Dyrektorskie auto z dyrektorskim szoferem nie nadaje się do tej kombinacji. Konieczny jest do tego szofer - wspólnik.

W połowie drogi Gafani zapalił cygaro. Nie zwykłe cygaro. Dym tego cygara usypia na kilka godzin. Uśpi i Chana. Na niego zaś nie podziała, gdyż połknie przedtem pigułkę, która zneutralizuje działanie dymu na palącego. W ten sposób znienawidzony rywal będzie sparaliżowany. Gafani przywiezie go do konsulatu Korduelli. Dalszy przebieg akcji nie obchodzi go, aczkolwiek i dalsze przewidział Gafani. Poselskim jachtem Eskobedo odprawi Ammałata pod odpowiednią eskortą do Huelwy, która, jak i Nowa Kartagina, leży na brzegu oceanu. Ominą olbrzymi przylądek, prawie półwysep. Potrwa to osiem do dziesięć godzin. Najkrótsza droga pomiędzy obydwiema stolicami to jest ta właśnie droga, którą przebył Ammałat podczas swej ucieczki przez pustynię.

Co powie Gafani po powrocie do obozu? Jak usprawiedliwi nieobecność Chana?

Odpowiedź gotowa:

Zajechaliśmy do kawiarni „Nationale". Zażądaliśmy szampana. Przy sąsiednim stoliku siedziała jakaś piękna kobieta. Chan zrobił na niej wrażenie... Ona wyraźnie darzyła go swoją uwagą. Ammałat przesiadł się do niej, a po chwili powiedział mi: „Gafani, niech pan wraca sam jeden do obozu, ja przyjadę jutro rano. Dla obozu niech pan wymyśli historyjkę, że spotkałem przypadkowo kolegę z korpusu paziów i nocuję u niego."

Naturalnie, nazajutrz Chan nie wróci. On już nigdy nie wróci. Nigdy! To nikogo nie zdziwi. Nowa Kartagina słynie ze swych spelunek, do których kobiety wciągają obcokrajowców. Tam tych obcokrajowców okradają, potem giną bez śladu.

Działając w ten sposób, Gafani nietylko zmiecie ze swej drogi znienawidzonego rywala, ale skompromituje go w oczach całej trupy. A u Mar-Molli, obrażonej w swych uczuciach, pogarda zastąpi miłość.

I cóż jeszcze? Niech się ktoś domyśli...

Nazajutrz po takiem korzystnem sprzedaniu głowy Chana, awanturnik podczas śniadania ogłosi wszystkim:

— Nie wiem, jak moi koledzy, ale ja uważam absolutnie za niestosowne nadużywanie wyjątkowej grzeczności pana O'Donnela. Doprawdy nie wypada dla własnej przyjemności korzystać każdego wieczoru z auta dyrekcji. Dziś, naprzykład, przyjedzie po mnie wynajęte auto...

— Jakie głupstwo! — powiedział na to O'Donnel — taka drobnostka!

— Nie, przepraszam, — opanował Gafani — grunt to zasada...

Wszyscy przytaknęli Gafaniemu. Najenergiczniej Benau:

— Im bardziej delikatny jest pan O'Donnel, tem bardziej my się rozpuszczamy wszyscy. Gafani ma rację: Samochody są do pracy, do zdjęć, ale nie dla własnej przyjemności i do słuchania jazz-bandów w nocnych restauracjach Kartaginy. Tego już zadużo...

Nikt nie opanował, a może nikt nie zauważył, że właśnie Gafani codziennie korzystał z auta dyrektora.

Wszyscy inni zaś bardzo rzadko. A Benau, Savedra, Zeraicz, Mar-Molli ani razu.

Wieczorem przyjechał po Gafaniego wielki „Mercedes," prowadzony przez tęgiego szofera w białej liberji i w białej czapce.

Przypatrzywszy się, można było poznać w tym szoferze jednego z drabów, którzy przyaresztowali Gafaniego przed willą posła Eskobedo. Ale — już bez wąsów. Wąsy zostały na nowej roli zgolone.

— Wasza wysokość, jedziemy do miasta! — zaproponował Gafani — Mała przejażdżka... Proszę pana na obiad do Atlantic'u. Między nami powiedziawszy, nasz kucharz Antadze zanadto już forsuje wschodnio - kaukaską kuchnię... Jego kuchnia jest wspaniała, jestem zachwycony, ale i ona wymaga zmiany. Tak samo, egzotyczne kobiety zczasem zmuszają nas do ucieczki w objęcia cichej, miłej blondynki... Jedźmy... Popijając szampana przypomnimy sobie daleką Muganję: pan tak interesująco opowiada...

I dopiero teraz Gafani spostrzegł, że nie wszystko jeszcze wie o Ammałacie, o Muganji, o Ałmaz-Chanie... Maleńka nieuwaga, jakieś małe niedopatrzenie techniczne tam w Paryżu i... skandal!

Żegnajcie skarby rodzinne mugańskiej korony!...

Nie, lepiej przesunąć na dzień lub dwa zniknięcie Ammałata, byle tylko gruntownie wypytać go o wszystko.

Ammałat odpowiedział:

— O mojej Muganji gotów jestem myśleć i mówić bez końca... A zwłaszcza, mając takiego uważnego słuchacza... Ale możemy z takim samym skutkiem snuć wspomnienia w namiocie. Niema potrzeby wyruszać do miasta. Szampan podadzą nam i tu...

— Jak pan woli... Mnie zresztą jest wszystko jedno... Mogę później pojechać do miasta...

Ammałat nie miał nic do zarzucenia Gafaniemu. W stosunku do siebie nie widział nic, prócz wyszukanej uprzejmości. A że Gafani niektórym się nie podoba — wszystkim nie można dogodzić! Tyle jest różnych gustów i tyle różnych sposobów podejścia do człowieka...

Ale Chan Mugański wierzył w mądrość i instynktu zwierząt i prymitywnych ludzi... Instynkt tych i tamtych jest prawie podobny i pełen jakiejś nieświadomej, jasnowidzącej tajemnicy...

Nie licząc się z antypatją kulturalnego Zeraicza i Benau do Gafaniego, Ammałat liczył się jednak do pewnego stopnia z negatywnem nastawieniem Donkundy...

Chan już nawet zrobił mu rodzaj wymówki:

— Słuchaj, Donkunda, tak niemożna... Na widok pana Gafaniego ty robisz takie miny i tak przewracasz oczyma, jakbyś chciał przebić mu gardło. Obrażasz tem nietylko pana Gafaniego, ale i pana O'Donnela. Jesteś muzułmaninem, Donkunda, i wiesz, zapewne, że gość jest osobą świętą. Gafani jest goś-

ciem pana O'Donnela, a więc i moim i twoim. Rozumiesz?

Senegalczyk z miną dziecka, które coś przeskrobało, drapał się za uchem swoją niesamowicie wielką łapą.

— Chan mądra, uczona... Donkunda nic nie rozumie. Donkunda tylko rozumie: musze Gafani zła...

Ograniczony horyzont rozmowy Senegalczyka, czy jego ograniczony zagas francuskich słów, czy też jedno i drugie spowodowały, że pojęciem „zły" murzyn zastępował wyrazy: „niedobry", „zdradliwy", „podstępny", „podły". Taksamo nazywał ruchome piaski, tak też określił i Gafaniego.

Donkunda, bojąc się, że nie dogodzi „mądremu", „uczonemu" Chanowi i jednocześnie przekonany, że Gafani jest „zła", był tak komiczny z wyrazem winy na twarzy i dziecinnym, naiwnym uśmiechem, przy swoim kolosalnym wzroście, że Ammalat sam nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Bądźże grzeczny, nie rób strasznych min i nie wybałuszaj oczu. A już było wcale nieładnie z twojej strony, gdy omal nie udusiłeś biednego pana Gafani.

Ostatniem zdaniem Ammalat doreszty pognębił Donkundę. I chociaż żal mu było czarnego kolosa, jednak dodał:

— Pamiętaj, że dobry muzułmanin nie może czynić źle człowiekowi, z którym jadł chleb przy jednym stole.

— Donkunda z pan Gafani nie jadła chleba przy jeden stół...

— Jakto nie „jadła"?! A czy pamiętasz śniadanie podczas zdjęć w pustyni?

— Tak... Ale śniadanie była „na ziemi", a nie przy jeden stół...

— Przecież w twojej ojczyźnie wcale stołów niema...

— Niema... — zamyślił się Donkunda.

— Więc widzisz! A teraz: dobry muzułmanin nigdy słabego nie skrzywdzi. Prorok kazał bronić słabych. A ty — obraziłeś! Pan Gafani jest słabszy od ciebie...

Ta rozmowa jednak nie osiągnęła celu, raczej przeciwnie: Donkunda nie dał się przekonać, a w duszy Chana powstały jakieś wątpliwości. Niewyraźne, nieuchwytne, zamglone. Ammalat odpędzał je, a jednak powstawały...

Chan Mugański nie pojechał z Gafanim do Nowej Kartaginy, ale przez chwilę nawet nie pomyślał, że może mu grozić jakieś niebezpieczeństwo ze strony sobowtóra. Nie, on był tylko przekonany, że niema potrzeby jechać do miasta i że ten wieczór będzie w obozie specjalnie miły i przyjemny.

Gafani był zmuszony do zaniechania swoich planów ze słodkim uśmiechem na twarzy i wściekłością w duszy...

Spotkanie, które mogło przyspieszyć bieg wypadków.

— Takie wewnętrzne uczucia, jak miłość, przyjaźń, przywiązanie, u nas, mugańczyków, i wogóle u muzułmanów nigdy się nie uzewnętrzniają. Mugańczyk, który przy ludziach pocałował żonę, jest czemś nie do pomyślenia. Im bardziej zakochany jest w swojej żonie, tembardziej wstydziłby się dotknąć publicznie ustami jej ust. Specjalna cnotliwość. Trudna do zrozumienia dla Europejczyka..

— A mężczyźni, krewni, przyjaciele całują się przy spotkaniu? Po długiej rozłące?

— Nawet po długiej rozłące — nigdy!

— A jakże się pan witał, wasza wysokości, ze swoim dziadkiem, wracając z Petersburga z korpusu paziów? Jak pana spotykał dziadek — Ałmaz-Chan?

— Całowałem go w ramię, a on kładł mi swoją rękę na głowę...

— I to wszystko?

— To bardzo dużo! W dotknięciu jego ręki i w jego spojrzeniu było tyle czułości pod surową maską! Więzy krwi, rodowe, religijne były tak silne, że nawet słów nie znajduję do ich określenia...

— „W ramię"... — głośno pomyślał Gafani i kontynuował dalej:

— W tej czysto męskiej wstrzemięźliwości dużo osobliwej, powiedziałbym wzniosłości. Pozatem, podoba mi się niezmiernie wasz szacunek dla starszych...

— O, to jeden z najgłówniejszych naszych „adatów" — podchwycił Ammałat. — Wracając do Muganji, już jako oficer gwardji, nie pozwoliłem sobie usiąść w obecności Ałmaz - Chana, dopóki on mi nie pozwolił... Ja, następca mugańskiej korony, wstawałem przed Kerimem — rówieśnikiem Ałmaz-Chana, jego mlecznym bratem i przybocznym opiekunem.

— Demokracja?

— Jeśli pan sobie tak życzy. Ale demokracja nie sztuczna, nie wymyślona przez polityków, ale stworzona przez historję i tradycję. Najbiedniejszy Mugańczyk zwracał się do mnie i do mojego dziadka per: „Panie mój, bracie mój..."

— „Rozczulające" — zachwycał się Gafani i, przypomniawszy sobie coś, rzekł:

— Opowiadał mi pan pewnego razu, jak Ałmaz-Chan zemścił się za śmierć ojca... Coś nam wtedy przeszkodziło i pan nie dokończył. On własnoręcznie zabił dwuch braci Chanów i rozkazał ściąć im głowy... W tem miejscu pan przerwał...

— I kazał zrobić z ich czaszek dwa kubki, okute srebrem, które spoczywały w pałacu na honorowem miejscu. Ałmaz - Chan zabierał te kubki ze sobą na wyprawy. Zabrał je również do Petersburga, gdy raz jeden pojechał przedstawić się carowi.

— Naturalnie, pan widział te kubki?

— Pewno! Od dzieciństwa! Patrząc na nie, wychowywałem się w „adatach" świętej, rodowej zemsty. Dużo lat temu po Muganji podróżował rosyjski poeta, zapomniałem, jak się nazywał. Te kubki natchnęły poetę, który na poczekaniu, w pałacu u dziadka, napisał wiersz. Ałmaz - Chanowi podobał się ten wiersz. On kazał go wygrawerować na jednym z kubków... Pan, zdaje się, rozumie trochę po — rosyjsku?

— Trzy lata obracałem się wśród rosyjskiej kolonji w Szanghaju. Miałem dużo rosyjskich przyjaciół... A języków uczę się z łatwością.

— Wiec proszę słuchać. Ten wiersz jest niby pośmiertnym głosem właściciela czaszki.

Ammałat deklamował z natchnieniem:

„Nie bój się i nie myśl o moim duchu!
Ja jestem tylko czaszzką bez życia i ruchu,
Martwą czaszką, która tem się różni od żywej,
Że w niej żadnej niema myśli mściwej.
Za życia, jak ty, mogłem kochać i pić!
Do końca wieków kości moje będą gnić!
A ty — pij! To nie jest dla mnie obraza:
Usta ludzkie nie gorsze od robaków i płaza..."

— Jak się panu podoba? — zapytał Ammałat.

— Bardzo ładny wiersz. Dużo w nim uczucia i głębi filozoficznej. Gdy ojciec pana padł od ręki zabójców, miałem cztery lata...

— Pan chciał powiedzieć, że ja miałem cztery lata — poprawił Chan, nie patrząc na Gafaniego i nie widząc, jak ten się speszył.

Ale Gafani zaraz się opanował.

— I mnie, wasza wysokości, i mnie, gdyż jesteśmy rówieśnikami. Ach, tak... jeszcze... Tylebym chciał wiedzieć! Jakie to jest wszystko ciekawe! A jak zapatrywał się Ałmaz - Chan, który był zapewne wielkim patrjotą i fanatykiem, na to, że pan wychowuje się w korpusie paziów i przyjmuje rosyjską kulturę?

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 101

W chwili, gdy Albert zamierzał przekroczyć ostatnie granice, nagle zerwała się Lola i pochwyciła go za ręce.

„Miłosny czar potrzebuje wolności. Dlatego tutaj we więzieniu nie mogę być szczęśliwą! Oh, dopiero teraz pojmuję grozę mojego położenia!"

„Czy nie widzisz, że cię kocham nad życie?" zawołał adwokat i upadł przed nią na kolana. „Spełnię — wszystko, czego tylko zażądasz, — słyszysz, — wszystko!"

„Poświęcę ci moją całą miłość, tylko nie w tych ponurych murach," odparła cicho Lola. „Uwolnij mnie z tego więzienia; niczego więcej nie żądam! A może chcesz czekać, aż mnie zaprowadzą na miejsce stracenia?"

„Milcz, nieszczęsna kobieto, — nie chcę tego słyszeć! Nie, — nie, ty nie powinnaś umrzeć!"

„Mów ciszej," zauważyła Lola.

„Lolu, ty jesteś mojem życiem i zagładą! Rozumiesz, co to znaczy? Dla siebie porzucam matkę i narzeczoną! Przysięgnij tylko, że będziesz mi wierną aż do grobu, a spełnię wszystko, co leży w mojej mocy!"

„Bądź pewien, że cię nigdy nie zdradzę! Lecz — w jaki sposób wydostaniesz mnie z tego więzienia?" odparła Lola.

„Zobaczymy. Wiadomo ci, że obecnie mamy zapusty. Po ulicach kręci się mnóstwo masek; być może, że ci się uda wydostać z więzienia."

„Lecz dokąd wyjedziemy?" zawołała Lola.

„Do Paryża! Jeżeli jutro rano wyjedziemy pospiesznym pociągiem, to wieczorem będziemy w Paryżu."

„Sądzisz, że nam tam nie grozi żadne niebezpieczeństwo?" zapytała Lola.

„W Londynie byłoby bezpieczniej," odparł młody adwokat po krótkim namyśle.

„Więc jedźmy do Londynu," zawołała Lola.

„Dobrze; we dnie wyprowadzę cię z więzienia. — Bądź więc gotowa! — Przyjadę jutro; dłużej nie możemy czekać."

„O dzięki ci, mój najdroższy," zawołała Lola. — „Pojmuję twoją ofiarę i jestem przekonana, żem niegodna takiego poświęcenia."

„Cicho, Lolu, — kocham cię, ty jesteś dla mnie jedynym światem, więc dlatego spełnię wszystko."

„A co powie na to twoja narzeczona? Zapewne jest piękną i bogatą?" odparła Lola.

„Tak jest, — lecz za jedną Lolę oddałbym dziesięć Kornelii!"

„Ach, Kornelia?"

„Tak jest, Kornelia Hartman", odparł młody adwokat.

W oczach występnej kobiety błysnął dziwny ogień. Lola ją znała jeszcze z tych czasów, gdy miała zostać żoną Kazimierza.

„Biedna Kornelia!" rzekła fałszywa kobieta, „boli mnie serce, żem jej odebrała narzeczonego!"

„Nie mówmy o tem," odparł młody adwokat.

Zbliżył się do Loli, ujął ją w swoje ramiona i całował namiętnie te słodkie usta.

„O mój najdroższy, w twoje ręce składam moje życie," szeptała Lola. „Jeżelibyś zawiódł moję nadzieję, to tą długą igłą przebiję biedne serce. Czekam więc na ciebie do północy."

„Tylko śmierć może mi przeszkodzić w uwolnieniu mojej ukochanej Loli," zawołał Albert.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Był to dozorca, który oznajmił, że już minął czas przeznaczony na rozmowę.

„Pan mecenas ma prawdziwy kłopot z tą obroną. Jak pan sądzi, czy uwięziona zostanie skazana na śmierć?" zapytał dozorca, wyprowadziwszy z celi młodego adwokata.

„Bardzo możebne," odparł Albert; — „każdy grzech musi być okupiony pokutą."

Podał rękę dozorcy i wyszedł szybko na ulicę.

W jego duszy wrzała straszna walka między obowiązkiem szlachetnego człowieka, a namiętną miłością. — Wiedział, że jego zamiar zada śmiertelny cios sędziwej matce. Lecz silne namiętności pędzą jak wezbrane potoki, — młody adwokat był stracony. Szatańska kobieta oczarowała go swoimi wdziękami.

CLXXVII.

Niebieskie domino

Nazajutrz Albert miał już gotowy plan i nie wątpił wcale w pomyślny wynik.

Teraz musiał załatwić tylko jeszcze kilka spraw.

Przedewszystkiem potrzebował dużo pieniędzy. Swój majątek miał dostać dopiero po śmierci matki.

Dotychczas utrzymywał się z dochodów, które mu dawała jego praktyka adwokacka.

Przy sobie miał tysiąc marek, które wystarcza zaledwie na kilkotygodniowy pobyt w Londynie.

Dlaczego spełnił haniebny czyn, będący zresztą tylko następstwem pierwotnego zamiaru.

Albert Froden zdefraudował kapitały swoich klientów wynoszące okrągło 200.000 marek.

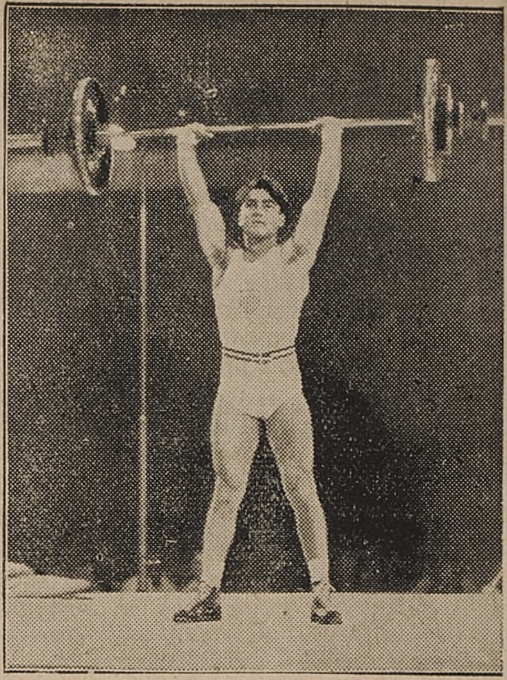
Przed południem wyszedł z domu i wrócił dopiero na obiad.

Naturalnie widział przy tej sposobności Karnelię i obydwóch Hartmanów. Towarzystwo postanowiło wieczorem pójść do teatru. Pani Froden miała kupić bilety.

„Zapewne jesteś wolny dzisiaj popołudniu," zapytała młoda adwokatka.

„Wiesz dobrze, droga matko, że objąłem obronę," odparł Albert.

„Ach, tej matkobójczyni!" zawołała sędziwa matrona. „Myślałam, że przynajmniej w karnawale będziesz wolny!"



Mistrz olimpijski w dźwiganiu ciężarów Amerykanin Ferlazzo podniósł 312 i pół kilo, zdobywając złoty medal.

„Niestety, sędzia nagli na ukończenie procesu, i dlatego jako obrońca muszę także spełnić moje obowiązki!"

„Może będziesz mógł się uwolnić dzisiaj popołudniu?"

„O nie, mój drogi!" zawołała Kornelia. „Idź tylko do sądu i spełnij twój obowiązek. Wieczorem zobaczymy się w teatrze!"

„Więc do widzenia, droga Kornelio!" odparł młody adwokat i pocałował swoją narzeczoną.

Do widzenia! — Ach, wiedział dobrze, że jej nigdy więcej nie zobaczy.

„Pożegnaj się ze mną, mój kochany synu!" zawołała pani Froden i wyciągnęła ramiona, by przycisnąć do piersi swoją jedyną nadzieję i pociechę.

Teraz nadeszła dla Alberta Frodena najcięższa chwila, — pożegnania z matką.

Trzeba przyznać, że Albert kochał nad życie swoją matkę, i uważał ją zawsze za ideał wszystkich niewiast. Spełniał każde życzenie i starał się jej uprzyjemnić ostatnie lata tej doczesnej pielgrzymki.

Wiedział, że jego matka uwielbiała go jak bożyszcze. Teraz, tuląc się do jej piersi, myślał z przerażeniem: co się stanie z tą kobietą, gdy ją opuszczę dzisiaj? Znał jej dumę i był przekonany, że jego nierozważny krok zada śmiertelny cios tej sędziwej matronie.

Albert czuł wstręt i obrzydzenie do siebie samego. Lecz na myśl o uroczej, dyszącej namiętnością Loli — zbladła gwiazda własnej matki, która jeszcze przed chwilą rzuciła snop promieni na jego serce.

„Co ci brakuje, mój najdroższy!" zawołała pani Froden. „Masz gorączkę?"

„Nic, nic, droga mamo!" odparł Albert, „w ostatnich dniach byłem przeciążony pracą!"

„Dlaczego sobie nie odpoczniesz? Za cztery tygodnie odbędzie się twoje wesele. Jako cel podróży poślubnej powinieneś obrać Włochy albo Hiszpanję!"

Albert nie mógł dłużej wytrzymać w rodzinnem kole. Pożegnał się pospiesznie i wyszedł z pokoju.

Matka spojrzała za nim niespokojnem okiem.

„Nie wiem, co mu się stało. Od kilku dni zachowuje się tak dziwnie. Byle tylko nam nie zachorował," rzekła pani Froden do swojego brata bankiera.

„Za dużo pracuje," odparł Hartman. „Odetchnie sobie swobodnie, gdy pozbędzie się tej obrony. Wiadomo wam, że owa kobieta zamordowała własną matkę!"

„Własną matkę!" zawołała Kornelia. „Oh, czy to możebne, że na świecie dzieją się takie zbrodnie?"

„Jak się nazywa ta matkobójczyni?" zapytał Kurt Hartman.

„Jakto, nie wiesz tego?" odparła pani Froden. „Niegdyś była hrabiną Sokolską i żoną poważnego ogólnie człowieka!"

„Lola?" zawołała Kornelia z widocznym przestrachem. „Ach, teraz pojmuję wszystko!

„I tę Lolę broni Albert?" dodała po chwili.

„Tak jest, moje dziecko. Widuję ją codziennie! — Trudno; obrońca musi porozumieć się ze swoją klientką!"

„O Boże, drżę na samą myśl, że Albert widuje tę przewrotną kobietę!" odparła Kornelia. „Dziwne uczucie niepokoi moje serce, jakby nas miało spotkać jakieś straszne nieszczęście!"

— — — — — —

Na ratuszu wybiła szósta godzina. Olbrzymi pochód masek poruszał się wolno po głównych ulicach. Wszędzie rozlegały się wesołe śmiechy i śpiewy.

Przed oczyma widzów przesuwały się grupy tancerek, błaznów, Hiszpanów i różne inne ciemne postacie, otulone różnokolorowemi dominami.

O tej porze Albert Froden wszedł do więzienia. — W ręce niósł dużą paczkę aktów. Przeszedł przez podwórze, na którem stało dwóch żołnierzy i skierował swe kroki ku więzieniu Loli.

Wszedł na kamienne schody; na korytarzu spotkał się z dozorcą.

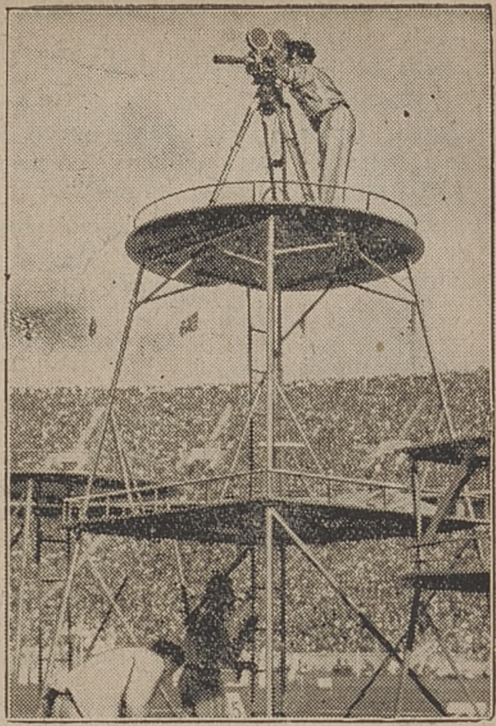
„Panie dozorco," rzekł Froden, „proszę wyprowadzić z celi moją klientkę. Mam polecenie zaprowadzić ją do sędziego śledczego. W procesie zaszła wielka zmiana! — Spiesz się pan!"

„Ma pan doktor pozwolenie na piśmie?"

„Przecie mnie pan zna już długo. Pan sędzia ma dużo do roboty i sądzi, że morderczyni zostanie mi wydaną bez specjalnego zezwolenia."

„Wierzę panu mecenasowi!" zawołał stary dozorca. „Jestem przekonany, że jej pan nie pozwoli uciec. — Inaczej znalazłbym się w rozpaczliwem położeniu, bo — gdyby —"

„Ależ naturalnie, mój przyjacielu! Bądź pewien, że nie nadużyję twojego zaufania. Czas nagli, chodźmy do celi!"



Za kilka dni na ekranach ujrzymy pierwsze filmy z igrzysk olimpijskich w Berlinje. Filmy te na stadjonie nakręcane są ze specjalnych wież, zwanych żartobliwie „oczyma świata".

Dozorca otworzył drzwi. Po chwili wyszedł z uwięzioną.

„Proszę się udać ze mną do sędziego śledczego!" zawołał opryskliwie młody adwokat. „Właśnie zgłosił się nowy świadek."

„Panie adwokacie, jestem przygotowana na wszystko!" odparła Lola, or-

ROZWIĄZANIE KONKURSU

NA NAJWESELSZĄ PRZYGODĘ W ŻYCIU CZYTELNIKÓW „MOICH POWIEŚCI"

Serdeczny kontakt, jaki istnieje między Czytelnikami „MOICH POWIEŚCI", a Redakcją i Wydawnictwem przejawił się ostatnio w niezwykłe licznym udziale **w KONKURSIE** naszego pisma **NA NAJWESELSZĄ PRZYGODĘ W ŻYCIU** naszych Czytelników. Otrzymaliśmy **178 prac.** Najpierw trzeba było przeprowadzić selekcję prac — na dobre, mniej udałe i błędne w samem położeniu czy też złe w formie. Pracy było dużo, ale i śmiechu z dobrych kawałów niemniej! Ostatecznie

I-szą nagrodę — w postaci wiecznego pióra — przyznano p. Hannie Kamińskiej z Poznania.
II-gą nagrodę — elegancki komplet listowego papieru — otrzyma p. Janusz Dąbrowski z Lublina.
III-cią nagrodę — w postaci książki powieściowej — przyznano p. Helenie Karge z Torunia.
IV-ta nagroda — ładny obrazek — przypadła w udziale Czytelniczce pod pseudonimem „Droit".
V-tą nagrodę — tomik poezyj „Jadźki z Kujaw" — przyznano p. J. Ostoi.

Bezpłatną roczną prenumertę „Moich Powieści" otrzyma p. Zenon Piątkiewicz z Włocławka, **półroczną** — p. Janina Stróżykówna z Gąsawy, **kwartalną** — p. Zbigniew Czachulski z Grudziądza.

Czytelników nagrodzonych, którzy nie podali nam dokładnych adresów, prosimy o podanie tegoż, abyśmy mogli przesłać premje.

Kilka prac nagrodzonych drukować będziemy w najbliższych numerach „MOICH POWIEŚCI"

REDAKCJA.

jentując się w całej sytuacji. — „Poco tyle zachodów. Wiem, że muszę umrzeć! O Boże, aby się już raz skończyły te przesłuchania!“

„Nie mów tak pani,“ rzekł dozorca, „każdy powinien się bronić aż do ostatniej chwili. Pan adwokat wyratuje może panią, — tylko odwagi!“

„Mogę rzeczywiście zawierzyć panu?“ zapytała Lola i rzuciła adwokatowi porozumiewające spojrzenie.

„Tak jest,“ odparł Albert, „chodźmy, — szkoda czasu, pan sędzia pewnie się już niecierpliwi.“

Dozorca nie myślał wcale o oszustwie, które się rozgrywało przed jego oczyma. Polecił jeszcze raz Lolę opiece adwokata i usiadł w swojem wygodnem karle, przeglądając wieczorne wydanie miejscowej gazety. — Ach, nieszczęśliwy nie przeczuwał, że nad jego głową zawisła straszna burza.

Lola zeszła tymczasem po schodach. Albert szedł obok niej i spoglądał niespokojnie dokoła.

Weszli na korytarz, który o tej porze był zwykle zupełnie pusty.

Albert otworzył prędko swoją torebkę i wyjął z niej lekką suknię, — niebieskie, jedwabne domino.

„Spiesz się, wdziewaj to domino,“ szepnął adwokat, — „kaptur włóż na głowę i spuść go na czoło. Nie mów ani słowa; jestem przekonany, że nam się uda dzisiejsza ucieczka!“

„Dobrze,“ szepnęła cicho Lola i zarzuciła na siebie niebieskie domino.

Albert przypiął jej teraz maskę, tak, że Lola była zmieniona do niepoznania.

„Teraz, teraz chodźmy!“

W tej chwili otwarły się drzwi. Albert rzucił niespokojne spojrzenie na korytarz i przekonał się, że sędzia śledczy wyszedł ze swojego biura.

Sędzia zbliżył się. Albert drżał na całem ciele, — jego szalony zamiar groził odkryciem w ostatniej chwili.

„Ah, pan doktor! Cieszy mnie, że pana widzę. Dawno pan już jest w sądzie?“

„Właśnie przyszedłem przed chwilą,“ odparł adwokat i zamierzam obecnie przypatrzeć się pochodowi masek.“

„Ach, ten karnawał,“ rzekł sędzia śledczy, „psuje nam tylko całe urzędowanie. Przez cały czas nie można z nikim poważnie pomówić. Ale, co to za dama?“ zapytał, wskazując palcem na Lolę.

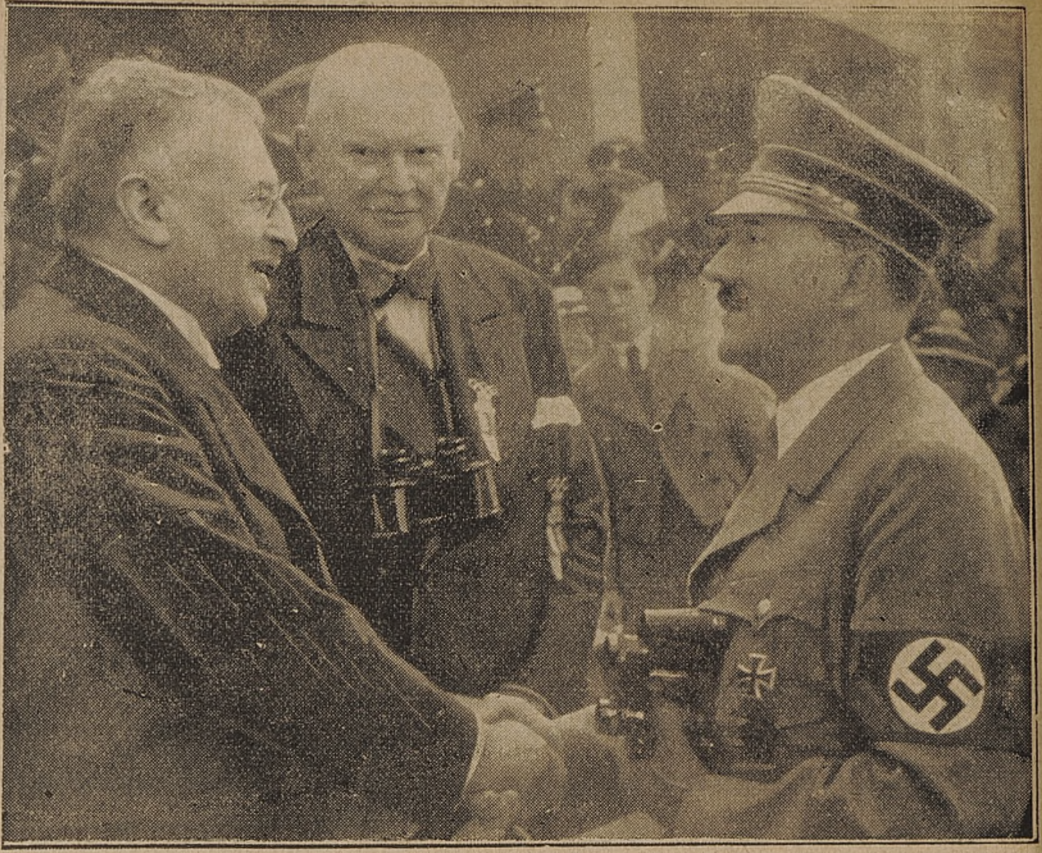
Lola pamiętała przestrogę Alberta i nie dała żadnej odpowiedzi.

„Pan kolega pozwoli, że mu przedstawię moją narzeczoną,“ odparł adwokat. „Przechodząc koło sądu, wstąpiłem w jednej sprawie; narzeczona nie chciała czekać na mnie na ulicy i dlatego wziąłem ją ze sobą. — Pan sędzia doktor Holf, moja narzeczona panna Kornelia Hartman!“

„Ach, cieszę się mocno, że mam honor poznać panią,“ zawołał sędzia śledczy. „Jak widzę, to się pan rzeczywiście zaręczył. W gazecie nie było żadnej wzmianki!

„A kiedy wesele?“ zapytał, zwracając się do Loli.

„Za cztery tygodnie,“ odparła Lola zmienionym głosem.



Podczas otwarcia olimpjady spotkali się w Berlinie kanclerz Hitler oraz głośny badacz Azji, Szwed Swen Hedin, który wygłosił przemówienie do młodzieży całego świata. Na zdjęciu widzimy kanclerza Hitlera witającego się ze Swen Hedinem.

„Zapewne pan mecenas raczy mnie zawiadomić o dniu ślubu,“ rzekł sędzia śledczy. — „Lecz nie będę dłużej zatrzymywał państwa. Muszę zaglądnąć jeszcze do owej matkobójczyni i zadać jej kilka pytań. Żegnam pana, — do widzenia!“

„Do widzenia!“ zawołał Albert, podając rękę sędziemu, który odprowadził Alberta i jego „narzeczoną“ aż do podwórza.

Naturalnie żołnierze, stojący na warcie, poznali znanego adwokata i sędziego i nie mieli odwagi zatrzymać niebieskiego domina.

Po chwili otwarła się więzienna brama. Albert i Lola wyszli na ulicę, przepełnioną różnobarwnym tłumem. Była więc wyratowana?

O nie! W tej chwili sędzia śledczy schodził po schodach, prowadzących do celi. Za chwilę spotka dozorcę i dowie się o ucieczce matkobójczyni.

„Uciekajmy,“ zawołał Albert Froden, „nie mamy ani sekundy do stracenia.“

„Może weźmiemy powóz i pojedziemy prosto na dworzec?“ zapytała Lola drżącym głosem.

„Pociąg odchodzi za pół godziny,“ odparł młody adwokat, „lecz sądzę, że będzie lepiej, gdy pójdziemy piechotą. Fiaker mógłby nas jeszcze zdradzić.“

„Więc chodźmy!“ zawołała Lola.

Po chwili zgubili się w tłumie i bocznemi uliczkami zdążali na dworzec.

Wreszcie przybyli na dworzec. — Pięć minut brakowało do odejścia pociągu. — —

Tymczasem sędzia śledczy schodził wolno po schodach, i zbliżył się do dozorcy, który na widok swojego przełożonego schował prędko gazetę.

„Mój przyjacielu, otwórz celę tej morderczyni!“

„Co mam otworzyć?“ zapytał stary wiarus.

„Celę matkobójczyni! — No, dlaczego patrzycie tak na mnie jak wół na malowane wrota? Nie zrozumieliście mojego rozkazu?“

„W tej chwili otworzę celę. Wszystko jest w porządku!“

„Nie mam wcale zamiaru rewidować celi,“ odparł sędzia śledczy, „muszę tylko pomówić z uwięzioną!“

„Z uwięzioną?“

„Do stu djabłów, — jesteś pijany, — czy co? — Otwieraj celę!“

Dozorca nie miał odwagi odpowiedzieć; sędziemu; otworzył celę i wpuścił go do więzienia.

Sędzia stanął jak rażony piorunem i spojrzał groźnie na dozorcę.

„Gdzie — uwięziona?“

„U pana sędziego,“ odparł dozorca niepewnym głosem.

„U mnie, — co to znaczy?“

„Uwięziona znajduje się przecież w biurze pana sędziego!“

„Do djabła, — kto ci dał polecenie?“

„Rozkazu nie otrzymałem; — lecz pan mecenas przyszedł przed chwilą i zażądał, bym mu wydał uwięzioną, ponieważ zgłosił się nowy świadek!“

„Doktor wyszedł z uwięzioną? Właśnie spotkałem go, jak szedł ze swoją narzeczoną.“

„Ze swoją narzeczoną? Boże! Pan adwokat powiedział mi, że pan sędzia ma dużo do roboty i kazał zaprowadzić do siebie ową kobietę. Wydałem mu więc uwięzioną, sądząc, że doktor Froden —“

„Człowieku, coś ty zrobił? Zapomniałeś o instrukcji —?“

Dozorca chciał się usprawiedliwić, lecz sędzia wybiegł na schody i po

Ciąg dalszy na stronie 599.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

KSIĘŻYCOWY WIECZÓR

W ogrodzie srebrem kapie księżyc;
— przez palce cieknie mi jak woda,
to znowu złom czystego srebra,
u nóg mych legnie, jakby kłoda.

Świetlana dłoń mnie jakaś wiedzie,
idę ostrożnie, sennym krokiem,
a wokół walka wre zażarta;
to światło walczy z cieniów mrokiem.

Świerki (co piękny tworzą szpaler)
w mroki wbijają się szpadami.
— Może przebiją błękit nieba,
gwiazd drobnym pyłkiem posypany?

I zdziwi się zapewne księżyc,
(księżyc — lśniącego krąg metalu),
że taki kawał uszedł drogi,
że się od ziemi tak oddalił.

Jeszcze w gałęziach coś szeleści.
— To ptak się porwał z głośnym krzykiem.
Dlaczego tchnie ten cichy wieczór
Tetmajerowskim erotykiem?...

Jadźka z Kujaw.

PROSZĘ O ADRES!

„Kochanie" ma w redakcji list. Proszę o jak najszybsze nadesłanie adresu!

W TYCH DNIACH

„Alwira": Proszę Panią o nadesłanie adresu, gdyż w tych dniach wpłynął dla Pani list.

DLA „JASNEGO SŁONECZKA" WPŁYNĄŁ LIST

„Jasne słoneczko". Proszę Panią o nadesłanie adresu, gdyż wpłynął dla Pani list.

„KTO PRAGNIE POZNAĆ POZNAŃ — NIECH DO NAS NAPISZE"

„Śmieszka i Jutrzenka". Życzeniom Pań czynię zadość i liścik w całości oddaję do przedruku:

„Wstępujemy w szeregi sympatyków „Krainy" i przedstawiamy się:

Jesteśmy mieszkankami Poznania. Dni wypełnia nam praca, a wieczory — książki, wspólne pogawędki lub spacery.

„Śmieszka" liczy 20 lat. Posiada ciemnozielone oczy i ciemne włosy i... sama, bez czyjejkolwiek pomocy brnie przez życie. Kocha pracę i życzliwie uśmiecha się do ludzi.

„Jutrzenka" to młodziutka blondynka o nieśmiałem spojrzeniu chabrowych cząt. Szczuplutka i pełna wdzięku. Pociąga ją miły uśmiech u ludzi, a najwięcej wzrusza czyjaś dobroć.

Oto nasza charakterystyka. Jeżeli słowa nasze nie przebrzmią bez echa, bardzo chętnie wypełnimy wolne wieczory korespondencją.

Kto pragnie poznać nasz piękny Poznań, choć z opisów, niech do nas napisze. Czekamy!"

LIST DO SYMPATYKÓW „KRAINY"

„Nie — biedna". Ponieważ list Pani jest przeznaczony tylko dla Sympatyków „Krainy", oddaję go w całości do przedruku:

„Przesyłam wiele pozdrowień p. Marjanowi T., „Maronowi" — p. Fryderykowi P. i „Rysiowi". Czy „Ryś" mieszka na Górnym Śląsku? — chciałabym się tego dowiedzieć.

P. St. U. zawiadamiam, że niepotrzebnie się „przestraszył", gdyż jego przeciwnik nie jest tak groźny, jak się może wydaje. Tłumaczeniem proszę się nie trudzić — uważam je za zbyteczne!

„Złotowłosej Haluś" ślę słowa otuchy. Wierz mi, Siostrzyczko, że zło minie i wszystko ułoży się znowu jak najlepiej.

Hallo! „Stara Panno"! — przesyłam miłe pozdrowienia. Mam dla Pani dużo sympatji, może dlatego, że znajduję się w podobnej sytuacji co Pani, gdyż również „niczego nie pragnę, wszystko mam, tylko brak mi czyjegoś szlachetnego serca, któreby mnie rozumiało". Może napisze Pani do mnie?

Na zakończenie dziękuję wszystkim za pamięć i pozdrowienia, a zwłaszcza tym, którzy słowami swemi wywołali u mnie uśmiech zadowolenia.

Siostrze mej Anicie — moc serdeczności! Tym, co piszą śliczne wiersze — wyrazy uznania!"

GDZIE JESTEŚ?...

Panu St. H. — poświęcam.

Szukam Cię cichą, cudną, letnią nocą,
W wiatru poddmuchach, co łzy rosy strąca,
I w rzędach gwiazd, co w górze migocą,
Szuka Cię moja miłość, przeczysta, gorąca.

Gdzieżeś się ukrył, czy w różanym kwiecie,
Czy też narcyzów skryła Cię korona,
Gdzie żeś, szukam Cię po całym świecie.
Ale napróżno, napróżno głos woła!

Czy Cię ukryły słowiki w gęstwinie?
Gdzie słuchasz ich przecudnych treli,
Czyś zasnął może w pachnącym jaśminie,
I dobrze Ci jest w jego bieluśkiej pościeli?...

Gdzie Cię mam szukać, powiedz jak daleko?
Połóż wreszcie smutkom moim kres,
Niechaj usłyszę chociaż słów Twych echo,
Nie będę się wstydzić szczęścia moich łez.

Chodzę samotna, zapatrzona w dal
Serce me płacze i ból targa duszę
I tak mi smutno i tak mi jest żal,
Że Cię tu niema, że Cię szukać muszę.

Powiedźcie kwiaty, przemówcie w tę noc
Upojną czarem waszej cudnej woni,
Co w sobie ma przedziwną jakąś moc
I słodkiem echem w sercu mojem dzwoni.

Gdzie Cię mam szukać, nigdzie niema Ciebie,
Ni tu w ogrodzie, ni w kwiatów kobiercu,
Niema Cię w gwiazdach na pogodnem niebie —
Więc gdzieżeś? — pewnie skryłeś się w mem
[sercu...

H. K.

WIERSZYK ODDAJĘ DO PRZEDRUKU

„Lenka z Torunia". Prześliczny jest Twój wierszyk, „Lenko" — oddaję go dzisiaj do przedruku.

Pozdrowienia zamieszczam jak najchętniej.

„Lenka z Torunia" (dawniej z Gdańska) pozdrawia p. M. Grzegorskiego i zawiadamia Go, że mieszka teraz w stolicy Pomorza. Cieszy się ogromnie, że spotkała znowu p. Grzegorskiego w „Moich Powieściach".

„Medyka ze Lwowa" zawiadamia, że owszem współpracowała z „Trubadurem Warszawy" i zapytuje Go skąd się wzięły te domysły.

* * *

Marcie — poświęcam.

Wszystko się spełniło,
co się spełnić miało — —
prócz pustki
osamotnienia
nic mi nie zostało...

Oprócz wyblakłych wspomnień,
co jak ta mgła zwiewna
są nikłe —
i ckliwe czasem
jak piosenka rzewna.

Wszystko się już spełniło,
co się spełnić miało — —
lecz poco
... na długą mękę...
serce pozostało? —

Danuta Wyrybkowska.

W „KRAINIE" NIC SIĘ NIE ZMIENIŁO

„Blondyn". Bardzo mi miło, że napisał Pan do mnie znowu i to po całorocznej przerwie. Pyta Pan, czy zmieniło si ęcoś w „Krainie"? Napozór nic! Sympatycy, jak dawniej, korespondują z sobą, wstępują i występują z „Krainy" — jednem słowem — „nihil novi"!

Pozdrawiam Pana serdecznie i zgodnie z życzeniem, przedrukowuję Pana apel:

„Czytelniczki „Moich Powieści" proszę serdecznie o liściki. Mieszkam na wsi, w pięknej okolicy, pełnej lasów i jezior. Lubię bardzo podróże krajoznawcze, śpiew i dancing. Posiadam: aparat radjowy, fotograficzny, patefon i... stałą posadę biurową. Czy któraś z Pań zainteresuje się mną?"

BRAK PSEUDONIMU I NAZWISKA

„Autorka różowego listu z Tuczna". Nie podała Pani w liście ani swego nazwiska, ani pseudonimu, myślę jednak, że dopatrzy się Pani swej odpowiedzi?

Dziękuję Pani za list z zwierzeniami. W wiadomej nam sprawie, postąpiła Pani jak najlepiej. Inaczej poprostu nie wypadało postąpić!

Proszę Panią o jak najczęstsze wiadomości i zgodnie z prośbą, zamieszczam zakończenie Pani liściku:

„Pozdrawiam serdecznie „Smutną Perełkę", „Zenię z Lasów" — „Pajaca" i „Fakira". Osobne pozdrowienia załączam dla p. Adama Starybrata, którego przypadkowo poznałam. Może mi Pan coś napisze, jak się teraz czuję i jak spędza dni?"

NAJLEPIEJ...

„Łobuz z pod ciemnej gwiazdy". Mam wrażenie, że „dziwny stan" minął już u Pani? Takie chwile niewiadomo, skąd się biorą u człowieka, pewnem tylko jest, że przychodzą i szybko odchodzą. Najlepiej chwilom takim niemi. Samotność, w takich wypadkach, jest się nie poddawać, lecz zawsze bronić się przed zupełnie nie na miejscu — lepiej iść do ludzi, porozmawiać z nimi i popatrzeć na ich uśmiechnięte twarze.

Co do mej osoby, to lepiej, że pozostanę nadal dla Pani nieznaną. Niech Pani wystarczy, że istnieję — kolor włosów, oczu i wzrost, to rzeczy mało ważne, i nie warto się nad niemi dużo zastanawiać. Czy przyzna mi Pani rację? Jak najserdeczniej Panią pozdrawiam i proszę znowu do mnie napisać!

CZYŻBY?...

„Niesympatyczny Ed.“ Trudno uwierzyć w prawdziwość powyższego pseudonimu, skoro właściciel jego potrafi pisać sympatyczne, chociaż krótkie, listy. Czyżby pseudonim został przyjęty dla kontrastu? Myślę, że sprawa wyjaśni się prędzej czy później — narazie zaś przeczytajmy wszyscy, co pisze o sobie „Niesympatyczny Ed“:

„Jestem sobie ot, przeciętnym młodzieńcem; trochę idealistą, trochę romantykiem, trochę marzycielem, no i nic więcej.

Przesyłam pozdrowienia „Złotowłosej Haluś“ — „Szarej Dziewczynce“ — „Sztubaczce z Bydgoszczy“ i koledze — „Ord-Omowi“.

ODPOWIEDŹ NA POGODNY I MIŁY LIST

„Ananke“. Posiada Pan bardzo pogodne usposobienie — widzę to z ostatniego nadesłanego listu. Od początku do końca operuje Pan słowami: „cieszę się“ „niezmiernie jestem szczęśliwy“ itd., a nawet nie martwi się Pan odesłaniem do kosza — wierszykiem.

„Nie martwię się — pisze Pan — swojem niepowodzeniem, gdyż zdaję sobie sprawę, że nie posiadam talentu poetyckiego. Wiadomość, że wierszyk mój trafił do kosza, przyjąłem z stoickim spokojem. Kończę też z poezją, a spróbuję napisać coś prozą. Może tym razem ocena Pani będzie łaskawszą?“

Naprzód nigdy nic nie przyrzekam, Drogi Panie, ale sądząc po stylu Pana, ocena nie wypadnie zbyt surowo. Zachęcam więc Pana do pracy i czekam — na dłuższą nowelkę lub ciekawy feljeton. Łączę szczery uścisk dłoni i pozdrawiam w imieniu Pana „Mandę“ i „Beatrice“.

ZABAWMY SIĘ JESZCZE RAZ W „CIU - CIU - BĄBKĘ“

„Eros“. List, w którym napisał Pan, jak sobie mnie wyobraża, rozśmieszył mnie ogromnie. Dlaczego, zrozumie Pan, gdy się dowie, że moje incognito zostało nienaruszone. Może jeszcze raz zabawimy się w „ciu - ciu - babkę“?

Dopisek zamieszczam:

„Serdecznie dziękuję za pozdrowienia „Królewnie Mary“ i „Dziewczęciu z Kujaw“. Może Panie te zdecydują się pierwsze do mnie napisać, gdyż mnie jakoś brak odwagi?

„Dzince“ dziękuję za dobre słowa. Z zaproszenia skorzystam przy najbliższej sposobności, chociaż niekoniecznie pod wpływem „nastrojów“. Moc miłych pozdrowień! Może zechcesz mi zadedykować „Dzinko“ jakiś wiersz? Napisz, proszę pierwsza!“

„TAK MAŁO NA ŚWIECIE DOBROCI, A TYLE JEJ ŚWIATU POTRZEBA“...

„Czarnulka z pod Śremu“ pisze: „Wzruszył mnie bardzo jeden z ostatnich numerów „M. Powieści“. Przyczyniła się do tego odpowiedź Pani, przeznaczona dla „Zefi“. Pod wpływem tej odpowiedzi chciałabym kogoś rozweselić i przesłać komuś nieznanemu wiele dobrych słów. Zacznę od Polaków, przebywających w Legji Cudzoziemskiej...

Ponieważ piszę pierwszy raz do „Krainy“, wypada mi się przedstawić:

Jestem żywą i wesołą osóbką, pomimo doznanych w życiu przykrości. Posiadam śliczne, czarne loki i błękitne oczy. Mieszkam na wsi, w pięknej, lesistej okolicy.

Przesyłam dla „Zefi“ moc pozdrowień i siostrzane uściski“.

Powyższy list, to dowód, że dobroć zyskuje sobie w „Krainie“ coraz to więcej zwolenników. Oby jak najwięcej, bo:

„Tak mało przecież na świecie dobroci,
a tyle jej światu potrzeba“...

CZY DOBRZE?

„Wandzia z B.“ Zasmucił mnie bardzo ostatni liścik Pani. Czy sytuacja nigdy się nie zmieni? Proszę, niech mi Pani napisze następnym razem, co Pani sprawia zadowolenie i co mogłoby dać Pani szczęście! (Listy wysłałam.)

„CZUJĘ SIĘ BARDZO OSAMOTNIONĄ“...

„Samotna Kukułka“. Dla samotnych i smutnych osób „Kraina Szczerości“ jest zawsze szeroko otwarta, a więc i dla Pani. Witam Panią serdecznie i zapraszam do naszego grona! Uciesze się jeżeli Pani będzie się dobrze czuła wśród nas i pisywała długie, szczere liściki. Wzamian odpłacimy się przyjaźnią!

Na zakończenie mej odpowiedzi, oddaję do przedruku tą część listu, w której mówi Pani o sobie:

„Czuję się bardzo osamotnioną i nie posiadam żadnej szczerej przyjaciółki. Czy znajdę ją w „Krainie“?

Jestem szatynką o niebieskich oczach. Lubię muzykę, kwiaty i marzenia. Największą moją przyjemnością są wieczory, wolne od zajęć. Siadam sobie wtedy w ogrodzie z robótką i marzę... Chwile te „kocham bardzo. Czy otrzymam od kogoś dobry i miły liścik?...“

SPRAWA PSEUDONIMU — ZAŁATWIONA!

„Telimena“. Nadesłana fotografja bardzo miła, chociaż malutka. Ucieszę się, jeżeli nadeśle mi Pani kiedyś większą.

Sprawa pseudonimu — załatwiona! Łączę moc uścisków i pozdrowień.

(Czy Koleżanka Pani otrzymała numery okazowe „Moich Powieści“?)

SPEŁNIŁY SIĘ WRESZCIE MARZENIA...

„Człowiek z ludu“. Liścik Pana jest tak promienny i miły, że oddaję go choć w małej części do przedruku. Pewna jestem, że liścik taki każdy chętnie sobie przeczyta...

„Otrzymałem, dzięki „Krainie Szczerości“, bardzo miły liścik od kogoś dalekiego i nieznanego. Każde zdanie w liście tym było cudne, szczere i radosne, bo dyktowane dobrem serca. Cieszę się ogromnie, że udało mi się nawiązać tak piękny kontakt i pozyskać tak miłą przyjaźń.

„Krainę“ teraz wprost uwielbiam. Sympatykom jej przesyłam uśmiechy pełne słońca i wyrazy serdeczności.

Kończę już i proszę mi darować moją wylewność — ale taki jestem szczęśliwy! Słowa moje są słowami zadowolonego chłopca, któremu spełniły się wreszcie marzenia“...

DO „KRAINY“ PRZYJMUJĘ PANA BARDZO CHĘTNIE

„Miły Szatyn“. Do „Krainy“ przyjmuję Pana bardzo chętnie. Proszę, niech Pan pisuje do mnie jak najczęściej! Może napisze mi Pan, co się Panu najwięcej podoba w „Moich Powieściach“, a co nie? Lubię bardzo takie szczere listy, gdyż dzięki nim mogę się przyczynić do tego, aby „Moje Powieści“ podobały się i przynosiły każdemu zadowolenie. Żegnam Pana serdecznemi pozdrowieniami i czekam na następny list.

MAM NADZIEJĘ...

„Bolek z Bydgoszczy“. Ciekawa jestem dokąd Pan wyjechał, czy nad morze, czy na wieś, gdyż wnioskując z listu, nęci Pana jedno i drugie. Chyba napisze mi Pan coś o tem w następnym liście?

Przesyłkę skierowałam pod odpowiedni adres i mam nadzieję, że wybór Pana był trafny i dobry? Serdecznie pozdrawiam!

NADZIEJA

„Śnieżna Kula“ nadesłała do „Krainy“ następujący liścik:

„Miło jest pogawędzić od czasu do czasu z jakąś szczerą osobą, chociaż nieznaną. Dotychczas nie spotkałam jeszcze takiej osoby, ale mam nadzieję, że prędzej czy później natknę się na nią.

„Edwardowi VIII. i Iucundi agricolae przesyłam milutkie pozdrowienia“.

Teczka Wujka Janusza

DZIĘKUJĘ!

„Egle“. Dziękuję za nadesłany wierszyk. Zachowam go sobie na pamiątkę od kogoś szalenie miłego i ślicznego. Fotografję zwrócę wkrótce! Łączę dużo serdeczności i pozdrawiam.

BEZ TALENTU NIE MOŻNA PISAĆ WIERSZY

„Wiktorja“. I tym razem, ocena Pani wierszy wypadła nieszczególnie! Przedewszystkiem brak w utworach Pani najważniejszego — rytmu. Czy doczeka się Pani zwycięstwa — nie wiem, bo musi Pani pamiętać o tem, że jak bez niczego nie można się stać poetą, trzeba posiadać choć maleńką iskierkę talentu, aby pisać wiersze.

Pozdrowienia odwzajemniam i życzę Pani dużo wrażeń i zadowolenia podczas wakacyj.

NIE SKORZYSTAM

„Liti“. Nie mogę skorzystać! Może nadeśle mi Pani inne swoje prace?

POLECAM PANU GORĄCO...

„Przyjaciel poezyj“. Polecam Panu gorąco poezje Henryka Zbierzchowskiego, Konstantego Dobrzyńskiego i E. Kłonieckiego. Wiersze wymienionych autorów napewno będą się Panu podobały, gdyż posiadają w sobie i dużo piękna i prostoty. Tomiki poezyj otrzyma Pan w każdej większej księgarni, a już napewno w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Dziękuję za serdeczność i łączę moc pozdrowień.

WIERSZE — SŁABE

„Ismail II.“ Wiersze Pana, tak, jak się tego Pan spodziewał, zostały skazane na zagładę. Nie radziłbym Panu pisać dalej poezyj — szkoda trudu i mozołu! Wierszy „dla rozrywki“ się nie pisze, a jeżeli się pisze w tym celu to po to, aby je podrzeć lub spalić. Wiersz, napisany bez talentu, nie przyniesie nikomu żadnego zadowolenia, ani pożytku — niech mi Pan wierzy. Łączę serdeczny uścisk dłoni.

Raj kobiet



J 81 006 Śliczna letnia suknia, którą warto sobie sprawić, by ładnie wyglądać po powrocie z letniska.

J 81 073 Młodociana sukienka z matowej krepy w deseń. Przybranie stanowią plisowania.

J 81 074 Peleryna z matowej krepy, która stanowi bardzo ładne uzupełnienie sukienki J 81 073, może być noszona do wielu sukien stosownych w kolorze.

J 81 022a Skromna, a bardzo efektowna bluzeczka z jasnego taftu, poszczuplająca sylwetkę. Kroje (Lyona) w cenie 1,90 zł. w naszej adm.

Sześć królowych
i jedno królestwo

Inżynierowie holenderscy, zajęci przy pracach drogowych w okolicach Batawji, a zrzeszeni w klubie, który raz na miesiąc zbierał się w jednej z miejscowych restauracyj — byli najzupełniej zadowoleni ze swego losu i wysokich pensyj. Jedynem ich zmartwieniem był brak kobiecego towarzystwa i związana z tem trudność założenia rodzinnego ogniska. Aby temu zaradzić, szesnastu inżynierów zwróciło się do jednego z matrymonjalnych biur holenderskich, prosząc o ułatwienie im zawarcia związków małżeńskich bez konieczności wyjazdu z Indyj holenderskich. Inżynierowie, pracujący w kolonjach, są kontraktowo zobowiązani przez kilka lat nie opuszczać swych stanowisk — zresztą każda podróż do kraju połączona jest z olbrzymiemi wydatkami.

Biuro matrymonjalne, do którego zwróciło się szesnastu inżynierów z Batawji, wywiązało się w krótkim czasie ze swego zadania. Przeprowadzono obustronną wymianę fotografij i niebawem młodzi inżynierowie kolonjalni stanęli jednego dnia na ślubnych kobiercach. Początkowo wszystko szło jak najlepiej. Niebawem jednak urlopy się skończyły i inżynierowie musieli opuścić swe świeżo założone domowe ogniska i wyruszyć wgłąb dzikiego kraju, aby kontynuować rozpoczęte pionierskie prace. 16 młodych mężatek pozostało osamotnionych na długie tygodnie. Początkowo skracały sobie czas, odwiedzając się wzajemnie — czytając książki i pisząc listy. Niestety w okolicach, gdzie pracowali ich mężowie, poczty nie było i listy można było przesyłać tylko, gdy trafiła się przypadkowa okazja.

W jakich warunkach powstał w głowach młodych mężatek szaleńczy plan. Postanowiły one zerwać z dotychczasowym nudnym i bezczynnym trybem życia i osiedlić się na jednej z wysepek. Po powrocie swych mężów młode kobiety zakomunikowały im o swym planie. Większość inżynierów nie chciała oczywiście robinzonady — lecz sześciu z nich wyraziło zgodę na ów ekstrawagancki plan.

Jako miejsce tej emigracji mężatek wybrano po dłuższych naradach małą wysepkę. Wkrótce okręt, wyposażony we wszystkie przybory i zapasy, konieczne dla kolonistów, odbił od rodzinnego molo w porcie Batawji, uwożąc sześć żądnych przygód młodych mężatek. Wysepka, którą wybrano jako teren do tej „ekspanji" jest istnym rajem ziemskim. Klimat tropikalny, łagodzący wpływem morza, ziemia nadzwyczaj urodzajna, obfitująca w najrozmaitsze gatunki owoców południowych, oraz brak drapieżnych zwierząt, czyniły z tego uroczego zakątka ziemi wymarzone miejsce dla wypoczynku. Okręt, który przywiózł sześć młodych kolonistek, po wyładowaniu płynął spowrotem do Batawji.

Panie... inżynierowe zabrały się ostro do pracy i po kilka tygodniach, przy pomocy nielicznych tubylców, zamieszkujących wysepkę, zbudowały sobie kilka komfortowych domków. Wyznaczyły dla siebie oddzielne parcele do uprawy i czas upłynął im na pracy i zabawie na piaszczystej plaży. Jednak po kilku miesiącach jedna z kolonistek zdołała swym towarzyszkom narzucić swą władzę i obwołała się królową. Pozostałe tak długo nie miały nic przeciwko temu, dopóki samozwańcza królowa nie doszła do przekonania, że z racji swego stanowiska nie powinna zupełnie pracować. Wybuchła na tem tle rewolucja pałacowa... Królowa została zmuszona do abdykacji i piękne kolonistki postanowiły wybrać nową królową. Niestety, wybory nie dały pozytywnego rezultatu, albowiem wszystkie zgłosiły swe kandydatury. Były zatem królowe bez poddanych i bez królestwa.

W tym oryginalnym egzotycznym „babińcu" zaczęło się dziać coraz gorzej. Często dochodziło do swarów, które kończyły się krwawemi bójkami. Na szczęście, po upływie trzech miesięcy, inżynierowie zakończyli swój turnus i powrócili do Batawji, a uważając, że ich żony miały już dość czasu do zabawy w Robinzonów, postanowili je zabrać z wysepki. Żony ich powitały z radością ten projekt. Natychmiast po powrocie do Batawji młode panie inżynierowe wystąpiły do sądu, skarżąc się wzajemnie o ciężkie obrażenia ciała. Nie trzeba dodawać również, że zerwały ze sobą wszelkie stosunki towarzyskie.

Eksperyment, dokonany na wysepce, jest bardzo interesujący dla psychologa — czy nie?

DOBRA GOSPODYNI

Gruszki w całości

Niezbyt duże gruszki obrać, ogonki przyciąć do połowy, wydrążyć ostrożnie pestkowie, włożyć owoce do wody z sokiem cytrynowym, następnie osączyć. Włożyć do wody słabo ocukrzonej i gotować do miękkości. Zlać sok, dodać cukru 1/2 kg na 3/4 kg owoców i laseczkę wanilji. Szumować starannie, a gdy syrop osiągnie 3 stopień, ostudzić i letnim zalać gruszki. Następnego dnia zlać syrop, zagotować, nalać nieco cieplejszy na owoce. Postąpić jeszcze 2 razy tak samo, nareszcie włożyć do wrzącego syropu gruszki, smażyć przez 5 min., a gdy są zupełnie przezroczyste, włożyć po ostudzeniu do słoików, kładąc najpierw ostrożnie owoce, a na nie zlać syrop.

Konfitura z marchwi

Konfitura z marchwi nie miałaby smaku, gdyby się nie dodało skórki pomarańczowej albo cytrynowej i soku z cytryny. Smaży się ją dla przybierania tortów itp. Nadaje się tylko duża żółta marchew zaraz po zbiorach. Po oskrobaniu pokrajać w talarki, z których rdzeń wykrawa się w gwiazdkę. Włożyć do rondla kamiennego, zalać wodą i gotować do miękkości. Odcedzić wodę i osączyć marchew. Poprzednio przygotować skórkę pomarańczową, za moczoną przez szereg dni i ugotowaną, pokrajać ją w paseczki i wziąć szklankę skórki na 1 kg. marchwi. Zagotować syrop z 1 i pół kg cukru na 1 kg marchwi do 1 stopnia, wrzucić marchew i smażyć przez 30 min., przy końcu wcisnąć sok z 1 cytryny. Dokończyć jak inne konfitury.

PORADY PRAKTYCZNE

Jaja należy tak rozbijać, by skorupa nie pękała przez środek, ale tylko, by jeden koniec został otwarty. Skorupki takie chowa się, napełnia dobrą inspektową ziemią, ustawia w piasku i zasadza w nich nasiona roślin, których prowadzenie jest trudne (ogórki, pomidory, dynie, melony, kawony, groch cukrowy). Rośliny pielęgnuje się w pokoju, a gdy się wiosną należycie na polu ociepli, wysadza się je w grunt wraz ze skorupami, po poprzedniem lekkiem zgnieceniu ich w ręce.

W ten sposób postępują włościanie w Wirtembergji, hodujący jarzyny w pobliżu większych miast. Zbierają oni sami skorupki jaj, a także sprzedając jaja do restauracyj, wymawiają sobie zwrot skorup. Wczesne plony wynagradzają trud, a skorupy i tak poszłyby na marne.

—o—

Jeżeli zależy na pośpiechu, możemy wymyć całe okno w ciągu minuty, używając do tego jakiegokolwiek płynu do wywabiania plam z odzieży. Wystarczy zwilżyć nim szmatkę i wycierać okno zwyczajnie. Nie jest to może sposób tani, lecz bardzo szybki, a okna pozostawia lśniące czystością.

—o—

Srebro stołowe nie powinno nigdy stać całą noc niewymyte.

Ze świata

Samochody polarne

Poraz pierwszy na większą skalę wybróbowano użycia samochodu przy badaniach arktycznych. Mianowicie sowiecka ekspedycja polarna, która przezimowała na wyspach Samuela, użyła zamiast sanek zaprzęgniętych w psy — „samochodów polarnych". Samochody te odbyły drogę naokoło półwyspu Taymyr (300 mil tj. 460 kilometrów) stosunkowo bar-

dzo łatwo i przybyły w dobrym stanie do Moskwy. Miały się one okazać bardzo praktycznemi i nie zawiodły przy najcięższych burzach śnieżnych, w których psy częstokroć nie dopisywały. Samochody pokonywały najtrudniejsze tereny przy 40-stopniowym mrozie. Poza tem samochody mają jeszcze tę zaletę, że dają lepszą ochronę przed wpływami atmosferycznemi od sanek, zaprzęgniętych w psy.

Podobne doświadczenia czyniła ekspedycja Byrda na biegunie południowym z traktorami polarnemi.

Kto ma maskę — gazy trujące nie są straszne

Dzień 22 kwietnia 1915 roku jest naprawdę datą historyczną, dnia tego bowiem na froncie francuskim pod Ypres, Niemcy poraz pierwszy w dziejach zastosowali gazy trujące.

Chlor wypuszczony z wiatrem w ciągu 15 minut poraził 15.000 żołnierzy wojsk sprzymierzonych. Z pośród nich zmarło 5.000, a więc 33 procent.

Drugi napad gazowy wykonali Niemcy na froncie rosyjskim pod Bolimowem w maju 1915 r. Zagazowano 9,000 ludzi, z nich zmarło 6.000, a więc 65 procent.

W ostatnich miesiącach wojny śmiertelność wśród zagazowanych wynosi już 3,2,1 procent, a nawet zero. Dlaczego? Bo w parze z przygotowaniem do napadu postępowała i obrona. Ani sprzymierzeni pod Ypres, ani Rosjanie pod Bolimowem nie byli zupełnie przygotowani do obrony. Byli zaskoczeni.

Przygotowanych do obrony wróg zaskoczyć nie może, bo zorganizowana służba obserwacyjna zawsze zdoła uprzedzić, a przygotowani do obrony zawsze zdążą zastosować środki ochronne.

Na wojnie śmiertelność zagazowanych została zredukowana do minimum. Nie trzeba tego rozumieć opacznie, że gaz nie wyrządza na wojnie krzywdy. Chociaż nie zabija, toć przecież czyni żołnierzy niezdolnymi na pewien czas do walki, zmniejsza wartość bojową wojsk zmuszonych przebywać na terenie zagazowanym w maskach itd.

Jednak nie zabija przygotowanych. Gdy w chwili rozpoczynania ataku gazowego nałożyć maskę przeciwgazową, jest się zabezpieczonym od działania gazów zupełnie. Przed wszystkiemi gazami znanemi i nieznanemi obecnie maska nas ochroni, jej pochłaniacz bowiem przefiltruje zepsute powietrze zatrzymując gazy, by nam do oddychania dać powietrze czyste.

Dlatego też pochłaniacz, ów „ryjek" w masce gazowej, jest najważniejszą częścią. Wypełniony jest węglem specjalnie preparowanym z niektórych twardych gatunków drzew, pestek itp. A węgiel ten to właśnie w obronie przeciwgazowej bodaj największy wynalazek. On tak filtruje powietrze zepsute, pochłaniając gazy, że włożywszy na twarz maskę możemy krzyczeć: jestem gotów! A kupić maskę może każdy nie jest nawet droga. Właściwie, kto tylko może wydać te kilkanaście złotych, maskę kupić powinien. L. O. P. P. bowiem ma za zadanie przygotowanie obrony zbiorowej, a obronie indywidualnej, osobistej każdy sam pamiętać musi, L. O. P. P. tylko może tę obronę osobistą urządzić.

Oryginalna umowa małżeńska

Zwyczajna umowa małżeńska, jaką się zawiera przy akcie ślubnym, daleką była od zapotrzebowań niejakiego p. Cummingsa, bogatego obywatela angielskiego. Żeniąc się z przystojną manicurzystką p. Diane Mary, chciał on się porządnie obwarować. To też przed ślubem przedłożył swej narzeczonej dokument następującej treści:

„Ja Diana Mary zobowiązuję się, że z moim przyszłym małżonkiem S. C. Cummingsem, nigdy nie będę się kłócić, ani sprzeczać, nigdy go nie będę nudzić ani drażnić, lecz zato będę mu zawsze posłuszna.Również nie będę sobie golić brwi, nie będę palić więcej, jak 4 papierosy dziennie, nie będę sobie różowić warg i policzków, będę zaś ubierać się zupełnie skromnie. Na wypadek separacji, albo rozwodu, zobowiązuję się, że nie będę domagać się jakichkolwiek alimentów lub wsparć".

Ta ostatnia klauzula nic nie pomogła p. Cummingsowi. Został mimo niej skazany na płacenie alimentów. Krótkie to pożycie obydwojga było dla pani Cummings prawdziwą torturą, a dla małżonka jednym aktem sadyzmu. Obawiał się on, że jego żona podoba się innym mężczyznom, stąd też jego zakaz szminkowania się i zarzucenie eleganckiego stroju.

— Ale jemu się podobałam dlatego właśnie, ponieważ byłam elegancko ubrana i troszkę urózowiona... Nigdy nie byłam wielką palaczką, ale gdy mój mąż tak bardzo zredukował ilość papierosów, dopiero zaczęły mi smakować.

Potem nieszczęsna zaczęła opisywać, jakie sceny działy się wskutek przekraczania umowy. Bez trudu więc uzyskała rozwód. Teraz może palić i to za pieniądze swego męża.

Starożytni stosowali kurację elektryczną

Chociaż elektryczność znamy stosunkowo niedawno, a leczenie elektrycznością jest jedną z najnowszych zdobyczy naukowych, to jednak posiadamy dowody, że już na trzysta lat przed Chrystusem uczeni medycy-ówcześni używali elektryczności do leczenia. Arystoteles w swojem dziele „O Naturze" wspomina o pewnych rybkach morskich, które łowiono i polecano chorym dotykać je. Przy dotknięciu tej ryby chory odczuwał wstrząs. Kilka odmian takich ryb morskich, które w organizmie swoim mają prąd elektryczny, znamy dobrze. Są to zapewne te same gatunki, których używali starożytni medycy.

Helikopter w służbie policji

W Londynie uruchomiono pierwszy samolot wiatrakowy (helikopter) dla nadzorowania komunikacji samochodowej. Londyńska policja komunikacyjna jest zdania, że samolot wiatrakowy szczególnie nadaje się do tego celu, ponieważ może się on dłuższy czas utrzymać na małej wysokości.

Komunikacja, która zwłaszcza w śródmieściu londyńskiem natrafiła na duże trudności, ma być w przyszłości regulowana przy pomocy większej ilości samolotów wiatrakowych, które pozostawiać będą w łączności radjowej z centralą policji komunikacyjnej.

RYSZARD ZRAŁEK

Jestem silny...

No, będziesz u licha stał spokojnie, nie? — pytał się siebie Relski, wlepiwszy oczy w słup, podpierający sufit. — O! psia kość! Stójże spokojnie! — wykrztusił — spojrzawszy z bezradną złością na swe drgające niemożliwie nogi. — No czego? Spokojnie! nakazywał sobie stanowczo.

Lecz nie na wiele to się zdało. Nogi drżały, jak wtedy, gdy był jeszcze brzdącem — urwipołciem i wieśniak go w swym ogrodzie na jabłkach złapał, on zaś miał całą koszulę kradzionym owocem wypełnioną. Wtedy drżały — i teraz drżą.

— Gdyby to się tak teraz płynęło, jak wtedy wiało — pomyślał. — O jej! — i nagle wpłynęła weń fala otuchy. — A może?...

A nogi drżały. I nietylko nogi. Od stóp, poprzez łydkę, kolano i goleń szedł fala za falą krótki, chwytliwy dreszcz, przenikał biodra — i w górę — grzbiet, dochodził do dolnych części płuc, zmuszając je do kurczowego, krótkiego wydechu, aż wreszcie lodowatą dłonią za serce chwytał i cisnął je z jakąś nieludzką, zimną mocą.

Andrzej drżał, drżał całem ciałem — i zdawało mu się, że to czekanie na start już się nigdy nie skończy. Powoli zaczął tracić świadomość chwili, coś tam jeszcze pamiętał, że to sto metrów stylem dowolnym, że się strasznie boi, że chce zwyciężyć i że za zeszły rok porażki ten musi rehabilitację przynieść. Musi. Lecz wszystko te myśli były jakieś zamglone, jakgdyby dostać się nie mogły do ściskanego kurczami ciała chłopaka. Wkończu i te przebłyski myśli rozpłynęły się gdzieś między falami drgań — i nie czuł nic, nie myślał i nie widział.

Nie słyszał nawet tuby, której głos wypełniwszy przestrzeń pływalni i trybun, wołał na start jego i tych, za którymi przyszedł w zeszłym roku, wyczerpany, chory. Ktoś go tam wziął pod rękę i prowadząc tłumaczył, pouczał. Andrzej nic nie rozumiał. To tylko, że tamten powiedział: „Oszczędzaj się. Pamiętaj".

— At, zawracanie — myślał leniwie. — Poco? i tak musi dojść, i tak. Nie będzie się oszczędzał, jest przecież tak silny, tak bardzo silny. Wytrzyma — i zrzuciwszy płaszcz flanelowy, stanął na małą betonową płytkę, zlekka pochyłony ku wodzie.

— To tutaj... Odtąd — poprawił się szybko.

— Na miejsca — usłyszał jakby przez tłumik.

— Na miejsca? Aa... więc już?

I otrzeźwiał nagle, zrozumiał co trzeba robić jak człowiek, któremu w ciemnościach błyskawica oświetli drogę, cel. W jednej sekundzie ogarnął oczami wszystko, tor, torowych, publiczność, trybuny i pojął nagle tę walkę, która w półtorej niespełna minuty wyzuje jego mięśnie z ostatniej krztynki siły, a płuca z ostatniej odrobiny tchu.

— Oj, będę pływał, jak wtedy, przy jabłkach — pomyślał nagle i uśmiechnął się lekko, radośnie. Jest przecież taki silny!

— Gotowi? — i popod złoto-bronzową skórą chłopaka zagrały leciutko mięśnie i stężały nagle w posupłaną, aż do jęku sprężoną linę ze stali.

I cisza... cisza...

Runął strzał.

Osiem ciał, jakgdyby jednym kierowane mózgiem, poderwało nogi z kwadratów betonu, błysnęło tęczami kostjumów w słońcu i z krótkim rozbłyskiem wśliznęło się w wodę. Oniemiałe trybuny nie śmieją odetchnąć — cicho, cicho... tylko sztopery sędziowskie cykają pośpiesznie, głośno, jakby mówiły tym, co w wodzie: pr-ędzej, prę-dzej!

Woda rozszczepiona, rozbita, tłamszona siłą mięśni ludzkich, rozbiegła się falami po całej przestrzeni basenu, plując wściekle pianą w betonowe ściany. Nie widać jeszcze nic. Wszystkie oczy zesrodkowane na powierzchni wody, czekają — gorączką dyszy tłum.

I nagle z toni wytryskuje ramię, znacząc swą drogę przerzutu diamentowemi w słońcu kroplami. Za nią druga, trzecia, dziesiąta. Podrzucana piersiami zawodników woda pędzi przed nimi zbałwanioną falą kołysze korkami sznurów torowych i biegnie naprzód jakgdyby wskazywała tym płynącym drogę.

Andrzej skoczył równo z innymi. Wszystko odbywało się zbyt szybko, nieoczekiwanie, by mógł czuciem, zrozumieniem nadążyć błyskawicy czynu. Ruch czy myśl mijała, już nikła, gdy on dopiero zaczynał ją rozumieć — a odczuwać. Nie odczuł nawet chłodnego obchwytu wody, dopiero potem, na którymś tam metrze, zrozumiał, że to — już.

I chciał zwiększyć szybkość. Ruchy jego rąk i nożyce nóg, stały się gwałtowne, jak mgnienie szybkie, ciało jak korpus przeciążonej maszyny poczęło dygotać, drżeć i płynął jak strzała, puszczona z łuku, drgająca ostatnim, kurczowym prężeniem się cięciwy. Już nietylko prawa część głowy zanurzona była w wodzie, lecz i przez lewą po każdych nożycach nóg przelatywała fala. Nie widział nawet dokładnie — jeno w wytężonych wysiłkiem ca łego ciała źrenicach migotały mu bryzgi kropel wodnych, bronz czyjejś ręki w przelocie, albo wykrzywiona wszystkiem, z szeroko otwartemi ustami, nikąca czyjaś twarz.

I płynął, płynął...

Nie patrzył już nigdzie — bał się. Czasu nie miał. Czas! Czas! Uciekał jak szalony, każdą tysiączną częścią sekundy ssał siłę mięśni ludzkich i gnał naprzód, jakgdyby wiedział, że tylko do niego należy świat i nic przeszkodzić mu nie może.

Czas! Czas! Pod wpływem zrozumienia tych migotów myśli, Andrzej — zdawało się — zmysły stracił, stracił poczucie własnych sił. Jego mięśnie nabrały jakiejś nieludzkiej, potwornej mocy, stracił świadomość zmęczenia, odległość przestrzeni, ruchu. Jego nogi — jakby nie wodę, lecz sprężyny miały za odbicie — za każdym ruchem parometrowa połykały przestrzeń. Ramię, wybiegające nad wodę, poza głowę, wprzód, bryzgami wody mignęło jeno w powietrzu — i zaraz fala wysoka znaczyła jej drogę pod tonią — i biegła szybko wtył. Dłoń jego biegła szybko, niczem dłoń boksera, zadająca przeciwnikowi rękawicą „knock aut". Nagle Andrzej dotknął betonowej ściany. Pięćdziesiąt. Gdzieś z za mgły jakiegoś oporu usłyszał: „pierwszy" — lecz nie zrozumiał. Nie zdążył zrozumieć.

Dotknąwszy ściany, podkurczył błyskawicznie kolana pod brzuch, przegiął się, szarpnął — stopy wyczuły twarde oparcie betonu — i pchnął.

Przez kilka maleńkich chwil płynął jak ślizgowiec muskając lekko wodę piersiami i twarzą, a w moment później z powrotem zaczęła się praca straszliwa. Już nie czuł zmęczenia — i nie czuł wogóle nic. Nie wiedział, gdzie jest, co robi. Nie słyszał nawet oddechu własnych zmordowanych płuc, oddechu świszczącego, który już nie potrafił zasilić dostatecznie powietrzem płuc. Ciało jego, nie mogąc podołać nadludzkiemu tempu ślizgania się wprzód, poczęło się szarpać, tracąc szybkość, wyginać jakoś dziko boleśnie. Trybuny nieme z jakiemś niesmacznem uczuciem w ustach patrzały na tę straszliwą, bezsilną walkę sił ludzkich z szybkością. Żaden głos, żadne głośniejsze westchnienie... Jakiś tylko niepokój w powietrzu — i tylko sztopery sędziowskie tykają szyderczo: — prędzej, prędzej. Ktoś tam przytomniejszy, praktyk widocznie, ściąga pośpiesznie płaszcz kąpielowy i bystro patrzy na wejście w Andrzejowy tor.

A ciało Andrzeja osłabło tymczasem zupełnie. Płynął jeszcze jako pierwszy — i miał wszystkiego pięć metrów do końca. Drugi — o jeden metr za nim. Lecz Andrzejowi zdawało się, że on już nie płynie. Ktoś go trzyma — on chce iść po nagrodę wyrywa się... Nie puszczają, więc on się szarpie, ale ten ktoś taki silny, taki strasznie silny. „Nie wytrzymałeś Andrzeju", powiada. „Nie wytrzymałem? Puść", bełgoce ustami w wodę. „Puść", powtarza wściekle, zachłystuje się nagle, lecz ów ktoś nie puszcza... Andrzej nie wie, co robić. „Przegrałeś!" dopowiada tamten. „Co?" Relski chce się odwrócić uderzyć — i zrozumiał wreszcie. „Przegrałem... — i stracił przytomność. Omdlał. Przestał być.

I tylko ciało jego obwisło, osunęło się jakoś, ustały drgania i rozluźnione mięśnie pusćiły wiązania stawów. Głowa na moment przedtem wzniesiona, chlupnęła bezładnie w wodę, pokryła ją fala, błysnął jeszcze na chwilę bronz pleców Andrzeja — i wzburzone walką fale pokryły wszystko.

Od brzegów w poprzek i wzdłuż torów wkroczyli ratownicy.

Cucono go długo.

— Myślał, że wytrzyma. Przeliczył się — mówiono przytem. Koniec.

chwili telefonował do dyrekcji policji, że Albert Froden wykradł z więzienia jedną kobietę.

Sędzia, skończywszy telefoniczną rozmowę, upadł bez sił na krzesło.

„Boże, zniszczyłeś sobie całą karjerę i okryłeś twoje nazwisko wieczną hańbą. Ta przeklęta kobieta oczarowała go swojemi wdziękami."

CLXXVIII.

Hotel pod białym słoniem

Policja przeszukiwała naprożno całe miasto. Lola i jej oswobodziciel zniknęli bez śladu. W ostatniej chwili udało się zbiegom wsiąść do pociągu i opuścić miasto.

Pani Froden, Kornelia i obydwaj Hartmanowie wybierali się właśnie do teatru; czekali tylko na Alberta.

Była siódma godzina. O pół do ósmej rozpoczynało się przedstawienie w operze. Pani Froden wyglądała przez okno, lecz Albert nie pokazywał się; całe towarzystwo oczekiwało go z niecierpliwością.

Nagle odezwał się dzwonek. a pani Froden zawołała radośnie:

„To on! Zmyjemy mu porządnie głowę, — nieprawda, Kornelio?"

Równocześnie otwarły się drzwi i do pokoju wpadła gospodyni.

„Pani radczyni," mówiła, „przed domem —"

„No, mów pani śmiało! Może spotkało mojego syna jakie nieszczęście?"

„Nie, proszę pani! Lecz w hallu stoi dyrektor policji i cały oddział policjantów. Pan dyrektor chce pomówić z panią!"

„Ze mną? Prawdopodobnie z moim synem?"

„Nie, — powiedział wyraźnie, bym go zameldowała u pani radczyni!"

Równocześnie we drzwiach pokazała się wysoka postać dyrektora policji.

„Wielmożna pani," przemówił dyrektor, witając się uprzejmie z całem towarzystwem, „muszę oznajmić pani smutną wiadomość. Albert Froden znajduje się w tej chwili w ukryciu. Niestety nie wiemy, gdzie się ukrył."

„Co to znaczy? Nie rozumiem pana!"

„Powiedziałem już pani, że przychodzę ze smutną wiadomością," rzekł urzędnik. „Krótko mówiąc, Albert Froden uprowadził z więzienia morderczynię — Lolę!"

Sędziwa matrona straciła mowę. Z bolesnym okrzykiem zachwiała się i padła na podłogę.

„Boże, ona umiera!" zawołała Kornelia. „Prędko, sprowadźcie lekarza, — oh mamo, — mamo, — proszę cię, — opamiętaj się!"

Kurt i Kornelia złożyli nieszczęśliwą kobietę na sofie. Stary Hartman patrzył bezmyślnie przed siebie.

Po chwili zjawił się lekarz, zbadał panią Froden i orzekł:

„Udar! Życiu tej pani zagraża wielkie niebezpieczeństwo!"

„Nieszczęśliwy człowieku," zawołał bankier, „przez lekkomyślność zabiłeś własną matkę! Bądź przeklęty, niegodny synu! Złamałeś życie mojemu poczciwemu dziecku, mojej biednej Kornelji!"

„Cicho, ojcze," szepnęła Kornelia„ „Nie wymawiaj nigdy nazwiska tego człowieka. On dla nas nie istnieje! — Wstydzę się, żem go kochała!"

— — — — — —

Jak się powiodła tymczasem ucieczka ściganym zewsząd zbiegom?

Pociąg kurjerski pędził całą siłą pary w kierunku Vlissingen.

Koło siódmej godziny wieczór następnego dnia Albert i Lola przybyli szczęśliwie do Londynu i zamieszkali w hotelu „Pod białym słoniem" w samym środku City.

Właściciel hotelu Bohne wskazał im mały pokoik na trzecim piętrze. Lola kazała mu podać kolację za pół godziny.

„Dlaczego nie powiedziałaś, by przyniósł zaraz kolację?" zapytał Albert. „Nie jesteś głodna?"

„O naturalnie!" odparła Lola. „Lecz przedtem muszę wyjść na pół godziny i załatwić kilka sprawunków. Potrzebuję kamaszki, bieliznę i wiele innych rzeczy. Inaczej nie mogłabym się pokazać z tobą na ulicy!"

„Dobrze," rzekł Albert; „weźmiemy dorożkę i pojedziemy po sprawunki!"

Lola położyła rękę na jego ramieniu i spojrzała mu w oczy, czerwieniejąc ze wstydu.

„Nie, mój drogi," szeptała, „nie masz iść ze mną. Damy w obecności mężczyzn nie mogą kupować pewnych rzeczy. Zostań w hotelu; za pół godziny wrócę."

„Dobrze, jeżeli tak sobie życzysz! Weź pieniądze i wracaj prędko spowrotem. Oczekuję cię z niecierpliwością!" zawołał Albert.

W oczach Loli pojawił się dziwny ogień na widok pularesu wypchanego banknotami.

„Sądzę, że ci wystarczy tymczasem 50 funtów szterlingów", rzekł zaślepiony Albert. „Lecz przynajmniej pozwolisz, że wycałuję twoje różowe usteczka."

„Brzydaku," szepnęła Lola, „nie możesz poczekać jeszcze kilka godzin?"

Po chwili Lola wyszła z hotelu i wsiadła do jednej z dorożek, stojących na rogu ulicy.

„Dokąd?" zapytał fiaker.

„Urząd telegraficzny," odparła Lola.

W kwadrans później nadała krótką depeszę następującej treści:

„Edwin Lister Paryż,
rue Montmartre.
Jutro rano oczekuję cię o 12 godzinie pod pomnikiem Nelsona.
Lola."

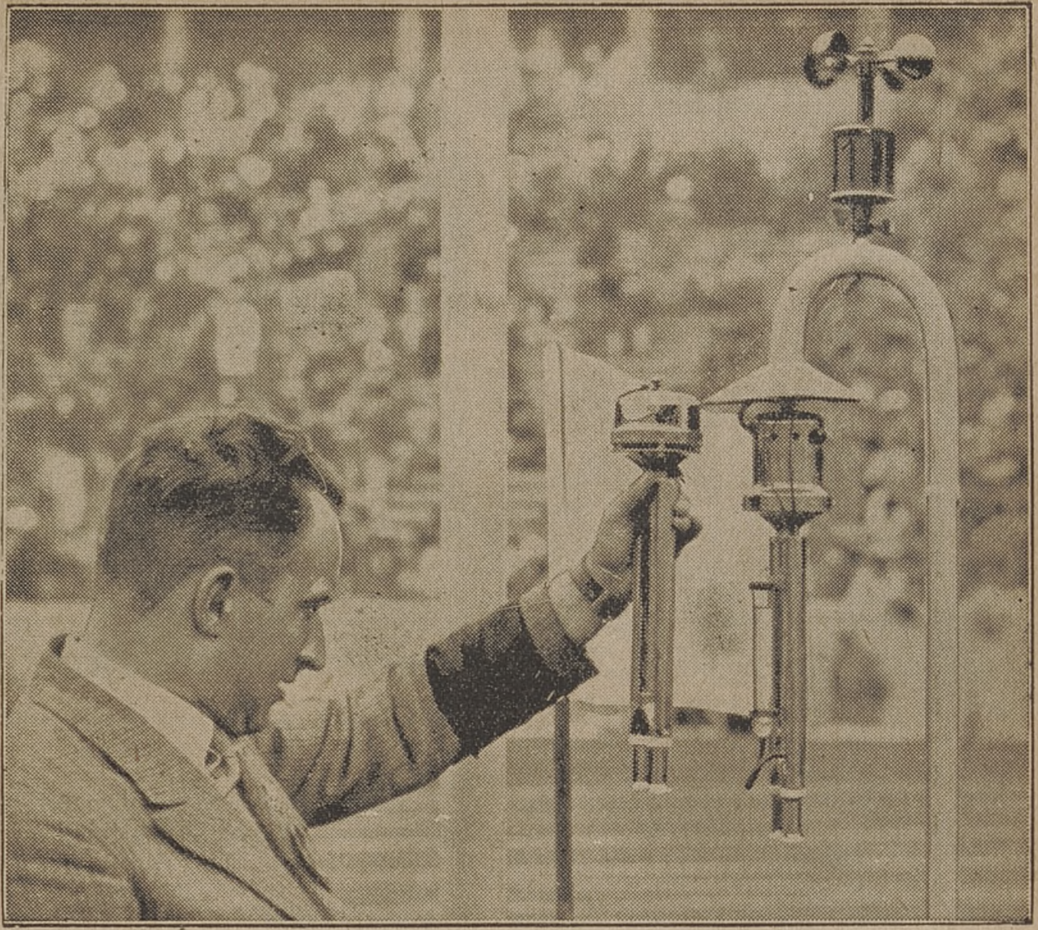
Lola, nadawszy tę depeszę, porobiła różne potrzebne sprawunki, kupiła rewolwer z patronami i wróciła do hotelu.

Albert ucieszył się nadzwyczajnie, zobaczywszy znowu Lolę.

„Ach moja droga", zawołał, „czekałem na ciebie z niecierpliwością. Liczyłem minuty do twojego powrotu."

„Rzeczywiście?" zapytała Lola. „Widzisz, ja tęskniłam także za tobą. Niestety, nie mogłam wcześniej wrócić. — Lecz teraz każ podać kolację. Nieprawda, tutaj nie grozi nam niebezpieczeństwo?"

„O, obecnie jesteśmy dobrze schowani!" odparł Albert Froden.



Komitet igrzysk olimpijskich oraz sportowców i widzów interesuje zawsze pytanie: Jaka jutro będzie pogoda? By zadośćczynić życzeniom wszystkich, zainstalowano na boisku aparaty (nasze zdjęcie), które przepowiadają z całą pewnością (podobno) pogodę na dzień następny.

Równocześnie kelner wniósł kolację i nakrył stół na dwie osoby.

„Gorąco mi,“ rzekł Albert, zapalając cygaro po kolacji, „otworzę okno.“

„Proszę cię, nie otwieraj, nie znoszę ulicznego hałasu“, odparła Lola.

„Zdejm surdut.“ Zerwała się ze stołka i pomogła mu zdjąć surdut.

„Lolu, powiedz, czy kochasz mnie?“ „Nie żałujesz twojego kroku?“ zawołał Albert.

„O, nie, jestem szczęśliwą, jak nigdy przedtem i dziękuję ci, żeś mnie wykradł z więzienia.“

„Albercie,“ zawołała po chwili milczenia, „nie zauważyłeś tego szmeru?“

„Co takiego, moja najdroższa?“

„Zdaje mi się, że ktoś podsłuchuje pod drzwiami. Proszę cię, wyglądnij na korytarz!“

„Ależ to zupełnie zbyteczne,“ odparł Albert.

„Albercie, spełń moją prośbę; boję się, czy nas kto nie śledzi?“

Młody adwokat otwarł drzwi i wyszedł na korytarz.

W tej samej chwili Lola przyskoczyła do surduta Alberta, błyskawicznym ruchem wyjęła portfel zawierający jego cały majątek i ukryła go na piersi.

„No, nie mówiłem ci,“ zawołał Albert wchodząc do pokoju, „na korytarzu niema nikogo. Oszukały cię twoje nerwy.“

— O, znów coś słychać! Idzie ktoś... schody trzeszczą... Boję się...

— Wydaje ci się, najdroższa.

— Nie, nie! Teraz jak gdyby ktoś schodził...

— Żeby cię uspokoić, jeszcze raz pójdę na dół.

Na to tylko czekała Lola. Szybkim ruchem wyciągnęła z ukrycia rewolwer i stanęła za drzwiami.

— Wraca... Już...

Wycelowała rewolwer wprost w pierś Alberta Froden. Ten nie zorjentował się nawet w sytuacji — myślał, że Lola zrobiła to w obawie przed obcym jakimś napastnikiem i odruchowo krzyknął: — Uważaj!

Lola chwilę zawahała się, ale jednocześnie pojawił się na jej ustach dziwny uśmiech, a w oczach zamigotał złowrogi, zielony ogień.

Adwokat zauważył to i jakby w olśnieniu jakiemś — zrozumiał i przejrzał zamiary Loli.

Doskoczył do niej, chcąc jej wyrwać rewolwer — i rozpoczęło się szamotanie. Coraz większą wściekłość widać było na twarzy pięknej kobiety — i ona to pewnie dodawała jej sił.

Nagle — co to?

— Ha, ha, ha! — paroksyzm śmiechu ogarnął Alberta Froden. Straszny to był śmiech — śmiech obłąkańca.

— — — — — — — —

Właściciel hotelu i jego żona zaniepokojeni niezwykłym hałasem na piętrze wybiegli szybko po schodach na górę. Kelnerzy i parobek stanęli pod drzwiami, z za których było słychać jakiś głos, błagający o litość i zmiłowanie. W tej samej chwili powstał nieznajomy i zaczął kręcić się po pokoju jak szalony. Podłoga zadrżała pod jego stopami.



Góry zaczynają okrywać się krasą jesienną.

Właściciel hotelu otworzył tymczasem drzwi i wszedł ze służbą do pokoju.

Wszystkie meble były poprzewracane i połamane. W pokoju panował straszny nieporządek. Na środku stał nagi mężczyzna z podrapaną twarzą i rozwianym włosem.

„Ten człowiek zwarjował!“ zawołał gospodarz. — „Gdzie się podziała jego towarzyszka, z którą przyjechał? Widocznie uciekła! Któż mi zapłaci teraz rachunek?“

Pan Bohne starał się nawiązać rozmowę z nieszczęśliwym człowiekiem. Lecz Albert na każde pytanie odpowiadał tylko jedno słowo:

„Matka!“

Widząc, że się z nim nie porozumie, przeszukał szybko wszystkie ubrania i odkrył portmonetkę. Jedno krótkie spojrzenie przekonało go, że pieniądze, zawarte w portmonetce, wynagrodzą mu sowicie całą szkodę.

Po chwili zjawiła się w pokoju zawezwana policja, a komisarz, zwracając się do nieznajomego, zapytał go o nazwisko.

Lecz Albert milczał uparcie.

Właściciel hotelu zapomniał wprawdzie zapytać adwokata o godność i charakter, lecz nie namyślając się długo, rzekł:

„Nazywa się Müller, przyjechał z Niemiec.“

Komisarz skinął na policjantów, którzy natychmiast rzucili się na nieszczęśliwego. Lecz w tej samej chwili zerwał się biedny adwokat i z okrzykiem: „matka, — matka!“ — rzucił się na swoich prześladowców.

Rozpoczęła się straszna walka, która po długiem mocowaniu zakończyła się związaniem warjata.

Służba zaniosła go do czekającego na dole wozu, a woźnica zaciął konie i popędził w stronę publicznego zakładu dla obłąkanych.

Dom warjatów był jednak przepełniony. Dlatego postanowiono go umieścić w jednym z prywatnych zakładów. Komisarz dał rozkaz woźnicy, by jechał do zakładu doktora Morizano i powiedział lekarzowi, że obłąkany powinien dostać osobną celę.

„Tego nie uczynię“, rzekł Morizano do swego przyjaciela Alfreda Robbera, gdy policjanci wyszli z kancelarji, „zamkniemy go razem z hrabią.“

Tego samego dnia otwarły się o niezwykłej porze żelazne drzwi celi, w której siedział hrabia Zygmunt Sokolski.

Do brudnej izby wepchnięto jakąś postać, która wzbudziła w Zygmuncie straszną trwogę.

Był to Albert Froden, obłąkany, — ofiara demonicznej, złej kobiety, — zwierzę w ludzkiem ciele!

CLXXIX.

Pojedynek z przeszkodami

„Przed „zamkiem szczurów“ stali dwaj wykwitnie ubrani panowie, — baronet Ralf Ravington i Sokolski - Lubsza.

„Za pięć minut szósta,“ rzekł baronet. „Za kwadrans uwolni się pan od nieprzyjemnego przeciwnika.“

„Jesteś pan pewien tego?“ badał baron Sokolski - Lubsza. „Muszę panu otwarcie wyznać, że znajduję się w nieprzyjemnem położeniu. Hrabia Kazimierz Zamski uchodzi za wytrawnego strzelca, — a ja nie mam wcale ochoty przenieść się teraz na łono Abrahama, — ponieważ spodziewam się otrzymać ładny spadek, wynoszący kilka miljonów. Żałuję mocno, żem się zgodził na ten pojedynek.“

„Cicho,“ zawołał Ravington, „słyszę jakieś kroki. Na miłość Boską, opanuj pan trwogę i udawaj obojętność. Zapewniam jeszcze raz, że panu nie grozi niebezpieczeństwo.“

Po chwili zjawił się hrabia Kazimierz Zamski w towarzystwie oficera marynarki Marcelego Remy i pozdrowił dumnie swojego przeciwnika.

Ralf Ravington zbliżył się do Kazimierza i rzekł:

„Jak widzę, to hrabia przyszedł z jakimś panem, — prawdopodobnie pański sekundant?“

„Tak jest!“ odparł Kazimierz. „Proszę pozwolić, że przedstawię: oficer pierw-

szej klasy Marceli Remy, — baronet Ralf Ravington!“

Obydwaj panowie skłonili się zimno, — a Remy obrzucił baroneta złowrogiem spojrzeniem.

Przed nim stał ów człowiek, z powodu którego Elżbieta opuściła swoją ojczyznę.

„Zapewne panu jako oficerowi jest wiadomy cel naszego spotkania“, przemówił Ralf Ravington. „Panie hrabio, proszę stanąć na stanowisku.“

Kazimierz schylił głowę na znak zgody i zwrócił swe kroki ku miejscu, które mu wskazał Ravington.

„Mój panie,“ rzekł baronet, zwracając się do porucznika, „warunki są umówione: trzykrotna wymiana kul. Po każdym strzale przeciwnicy zbliżają się do siebie o pięć kroków.“

„Dobrze,“ odparł Remy. „Zamówił pan lekarza?“

„Lekarza? — Oh, — tutaj obok mieszka doktor. — Jeżeli będzie potrzeba, to zaniesiemy rannego do jego domu. Nie chciałem zawierzyć pierwszemu lepszemu lekarzowi, ponieważ, jak wiadomo zapewne panu, pojedynki w Anglji są surowo wzbronione.“

Ralf Ravington wyjął równocześnie dwa długie pistolety i podał je przeciwnikom. Następnie zapytał donośnym głosem:

„Panowie, zapytuję się jeszcze raz, czy się zgadzacie na pojednanie? Wzajemna obraza nie jest tak ciężką, by jej nie można usunąć polubowną drogą.“

„Jestem gotowy przebaczyć mojemu przeciwnikowi,“ odparł baron Sokolski - Lubsza, „jeżeli hrabia odwoła przy świadkach obelżywe słowa.“

„Przykro mi,“ zawołał hrabia Kazimierz Zamski, — „lecz nie mogę się zgodzić na taki warunek. Nie cofnę nigdy tego, com powiedział!“

„Wobec tego,“ odparł Ralf, „nie pozostaje nic innego, jak rozpocząć pojedynek. Podnieście panowie pistolety i czekajcie na komendę.“

Przeciwnicy podnieśli broń.

Twarz barona Sokolskiego - Lubsza okryła się trupią bladością; — hrabia Kazimierz spoglądnął z pogardą na jego drżącą postać i czekał spokojnie na rozkaz sekundanta.

„Gotów!“ zawołał w tej chwili Ralf Ravington donośnym głosem. „Liczę raz,“ mówił sekundant barona Sokolskiego, „dwa i trzy!“

Padły dwa strzały, — biały dym zakrył na chwilę scenę, lecz po chwili zobaczono postacie przeciwników, stojące na tem samem miejscu.

Kazimierz chybił naumyślnie.

Baron Sokolski - Lubsza zwrócił się do swojego sekundanta i szepnął cicho:

„Do djabła, — jak się to skończy?“

„Nie moja wina, że się spóźniają ci, którzy mają brać udział w tej komedji. Spodziewam się, że nadejdą przed drugą wymianą kul.“

„Kochany baronie, nie rozumiem tego.“

„Czekaj pan! Zdaje mi się, że nadchodzi pomoc!“



Obywateli niemieckich, zagrożonych w Hiszpanji utratą życia i mienia, zabrał m. in. na pokład statek „Belona“, który przybył za zbiegami do francuskiego portu Bayonne (nasze zdjęcie).

„Dalej!“ zawołał po chwili Ralf, — „broń do góry, — pięć kroków naprzód. — tak, — dobrze! — Mierz, — raz, — dwa —“

„W imieniu prawa!“ zawołał nagle jakiś głos z okna w „zamku szczurów“.

Kazimierz obrócił się i zobaczył przed sobą policjanta, którego poznał po niebieskim mundurze.

„Co to znaczy?“ zawołał Kazimierz. „Policja dowiedziała się o naszym pojedynku?“

„Uciekajmy!“ odparł Ralf. „Ach, za późno! Policja otoczyła nas!“

W tej chwili otworzyły się drzwi „zamku szczurów“ i z bramy wybiegło czterech policjantów z komisarzem na czele.

„Stać! W imieniu prawa aresztuję panów. Proszę o broń i o nazwiska!“

„Baronet Ralf Ravington. Zapewne słyszał pan o mnie?“

„Naturalnie. — Cały Londyn zna pana!“

„A ten pan,“ rzekł baronet, „to mój przyjaciel baron Sokolski - Lubsza. Ręczę słowem honoru, że nie opuści Anglji, zanim nie zapadnie wyrok.“

„Na pańską odpowiedzialność, zostawię pana barona na wolnej stopie!“ odparł komisarz.

„Dziękuję panu,“ rzekł Ralf Ravington, i oddalił się szybko z baronem Sokolskim.

Komisarz zwrócił się do pozostałych i zapytał o nazwiska.

„Marceli Remy, porucznik marynarki pierwszej klasy,“ rzekł towarzysz Kazimierza i podał komisarzowi swoją legitymację.

„Hrabia Kazimierz Zamski.“

„Polskie nazwisko?“

„Tak jest; jestem Polakiem!“ odparł Kazimierz. „Przyjechałem do Anglji celem załatwienia jednej honorowej sprawy.“

„Ma pan w Anglji krewnych lub znajomych, którzyby zaręczyli za pana?“ zapytał komisarz.

„Nie!“

„W takim razie muszę zaaresztować pana hrabiego i zaprowadzić go do więzienia. Przykro mi bardzo, lecz niestety nie mogę inaczej postąpić. Jeżeli jednak pan chce, to proszę się udać ze mną do tego domu, gdzie zostawię pana pod nadzorem moich ludzi, a sam udam się do centralnej władzy w Londynie i wyjednam może dla pana zezwolenie na wypuszczenie z więzienia.“

„Dobrze, — i tak nie pozostaje mi nic innego,“ odparł Kazimierz. „Lecz czy pan Marceli Remy może pozostać ze mną w tym domu?“

„To jest wbrew przepisom! — Przez godzinę musi pan pozostać więźniem.“

„Mój drogi Remy,“ zwrócił się Kazimierz do swojego przyjaciela, „więc rozłączymy się na krótki czas. Wieczór o szóstej czekaj na mnie w hotelu Royal w sali jadalnej!“

„A gdyby cię nie było? Co wtedy?“

„W takim razie niech to będzie dla ciebie znakiem, że jestem uwięziony. Bądź zdrów, drogi Marceli, — do widzenia!“

Młody porucznik podał rękę Kazimierzowi i po chwili zniknął na zakręcie drogi. Komisarz zwrócił się do młodego hrabiego, mówiąc:

„Chodźmy! Właściciel tego domu odstąpi panu pokój na godzinę, a ja tymczasem pojadę do miasta i przedłożę prezydentowi pańską sprawę!“

„Kto mieszka w tym domu?“ zapytał Kazimierz, zbliżając się wolno do bramy.

„Lekarz!“ odparł komisarz.

Lekarz, — więc wykształcony człowiek! Ta wiadomość uspokoiła zupełnie hrabiego Zamskiego.

Komisarz zapukał do drzwi, i po chwili wprowadził Kazimierza do sieni. Na pierwszem piętrze urzędnik otworzył drzwi, prowadzące do ponurej izby; na środku stał stół i stołek.

Więzienie nie mogło gorzej wyglądać. Lecz urzędnik uspokoił Kazimierza i rzekł:

„Niech pan zaczeka tutaj chwilę, a ja pomówię z właścicielem domu. Proszę, niech pan siada!“

Kazimierz, nie przeczuwając nic złego, wszedł do brudnej celi. Komisarz, wychodząc, zamknął drzwi na klucz.

„Przezorny pan", — pomyślał Zamski i równocześnie jego wzrok padł na silne kraty.

Przez okno było widać morze i spienione fale, bijące ustawicznie o brzegi.

Kazimierz czekał cierpliwie na powrót urzędnika, podczas gdy wskazówki na jego zegarku posuwały się ciągle naprzód.

Minęły dwie godziny. Dokoła panowała niczem niezamącona cisza, tylko czasem odzywało się ze sąsiedniej celi dziwne, głuche pukanie.

Kazimierz zbliżył się do drzwi i starał się je otworzyć. Napróżno; drzwi były zamknięte. Zaczął pukać i wołać, lecz głos jego zgubił się w ciszy. Nikt nie nadchodził.

Dziewiąta godzina! — Teraz powinien wrócić do Elżutki. Co sobie o nim pomyśli?

Kazimierz zbliżył się znowu do drzwi i zaczął bić pięściami i krzyczeć z całej siły. Teraz powstało w duszy Kazimierza straszne podejrzenie. Czyżby go komisarz tutaj zwabił i uwięził?

Koło południa hrabia Zamski zaczął odczuwać głód i pragnienie. Dlaczego nie zapytano go, lub nie przyniesiono mu przynajmniej zwykłego więziennego wiktu?

Kazimierz nie wiedział, co ma począć. Usiadł na krzesełku, głowa opadła mu na piersi i po chwili usnął ze znużenia.

Gdy się obudził, było już zupełnie ciemno.

Zerwał się ze stołka, przyskoczył do okna i spojrzał na zegarek. Była dziewiąta godzina. Głód i pragnienie dopominały się w gwałtowny sposób.

Czyżby chciano go rzeczywiście zagłodzić? Zapukał do drzwi, lecz nikt nie odzywał się na jego wołanie.

Kazimierz zamyślił się nad swojem położeniem i mimo woli przypomniał sobie Elizę Rodeń, która znajdowała się w Londynie bez opieki.

Tak przeszła noc i następny dzień.

Od dwóch dni nie miał nic w ustach. Gorączka wstrząsała jego ciałem; kurcze żołądka powodowały szalone bóle. Powoli poczęły go opuszczać siły; lecz posiadał jeszcze niezamącony, bystry umysł.

Nagle Kazimierz wyrwał z notesu małą kartkę i napisał ołówkiem następujące słowa:

„Zwabiono mnie do t. zw. „zamku szczurów". Zaprowadził mnie tutaj komisarz policyjny, który odkrył mój pojedynek. Przypuszczam, że to był jakiś oszust, a nie urzędnik.

Od dwóch dni cierpię głód i pragnienie. Prawdopodobnie skazano mnie na głodową śmierć. Kto znajdzie tę kartkę, niech ją odda pannie Elzie Rodeń w hotelu „Royal".

Pomóżcie mi, bo inaczej jestem zgubiony. Hrabia Kazimierz Zamski."

Kazimierz przeczytał jeszcze raz tę kartkę, zwinął ją i włożył między złote koperty swojego kieszonkoweko zegarka.



W Palestynie trwają ciągle walki pomiędzy Arabami i wojskiem angielskiem. Na zdjęciu oddział wojska odpierający partyzantów arabskich.

Znalazca zegarka otworzy zegarek i zobaczy kartkę. Oto tylko rozchodzi się biednemu hrabiemu.

Młody Zamski zbliżył się teraz do okna i przeciął szybę brylantem, umieszczonym w jednym z drogich pierścieni. Po chwili chwycił się za kratę i przez wykrojony otwór wyrzucił zegarek z kartką.

Przynajmniej uczynił coś dla swojego ratunku. Teraz postanowił zasnąć i w ten sposób przespać głód i pragnienie.

Usiadł na stołku i wsparł głowę na rękach. Nagle zdało mu się, że ktoś otworzył drzwi.

Do brudnej celi wpadł słaby promień światła, — Kazimierz otworzył oczy i zobaczył dwóch mężczyzn.

Jeden z nich niósł latarkę i zbliżał się do niego, drugi stanął przy drzwiach.

Kazimierz rozpoznał natychmiast jednego z tych łotrów. Był to fałszywy komisarz policyjny, który go zwabił podstępnie do tego domu.

Na widok tego człowieka, nieszczęśliwy hrabia odzyskał swoje siły, — i spojrzał śmiało na przeciwnika.

„Ach, to pan!" zawołał Kazimierz ironicznym głosem. „Dziękuję serdecznie, że pan raczył sobie przypomnieć o mnie. Myślałem, że już umrę z pragnienia i głodu!"

„Bardzo możebne", odparł komisarz, którego głos brzmiał teraz zupełnie inaczej, aniżeli na miejscu aresztowania, „to zależy tylko od mojej woli."

„Nie wiem, dlaczego pan jesteś moim wrogiem, lecz proszę nie zapominać, że sądy —"

Kazimierz zamilkł nagle; szatański śmiech wstrząsnął jego nerwami.

„Dość tej komedji, panie hrabio Zamski", zawołał fałszywy komisarz, „Nie zauważył pan, że te czarne włosy są tylko peruką?"

Przebrany komisarz zerwał błyskawicznym ruchem perukę a Kazimierz zobaczył jasne włosy i zawołał przeraźliwym głosem:

„Alfred Robber, Alfred Robber, bandyta!"

„Tak jest", zaśmiał się Robber, „cieszę się, że pan hrabia dostał się w moje ręce. Powinien się pan oswoić z tą myślą, że owa cela pozostanie jego mieszkaniem aż do śmierci!"

„Łotrze!" zawołał hrabia Zamski, „Gdzie jestem, — dokąd zwabiliście mię?"

„Gdzie? Przypatrz się temu panu, a odgadniesz twój los...."

Równocześnie zbliżył się towarzysz Alfreda Robbera.

Nieszczęśliwy hrabia Zamski rozpoznał w nim doktora Morizano! Ten dom był więc zakładem warjatów, piekłem na ziemi, które założył Morizano w Londynie.

CLXXX.

Śmierć głodowa

Wreszcie obydwaj szubrawcy opuścili Kazimierza, który zamyślił się głęboko nad swojem położeniem.

Na szczęście Morizano zostawił w celi miskę jarzyny, mięso i dzbanek z wodą. Kazimierz przyłożył dzbanek do ust i pił chciwie.

Dlaczego zamknięto go w domu obłąkanych? Widocznie Ralf Ravington przyłożył rękę do tej niecnej zbrodni.

Alfred Robber w przebraniu komisarza policji zaaresztował tylko jego, a Sokolskiego pozostawił na wolnej stopie.



Regaty łodzi są jedną z najpiękniejszych konkurencyj sportowych — nic więc dziwnego, że biegi żaglówek budziły ogromne zainteresowanie i mimo burzliwej pogody tłumy publiczności przyglądały się zawodom. Zdjęcie nasze przedstawia bieg żaglówek „6 m R". Na pierwszym planie łódź angielska „Labage".

Kazimierz był teraz przekonany, że Ravington i Sokolski-Lubsza był tchórzem, lecz mógł łatwo znaleźć inne środki celem uniknięcia pojedynku.

Prawdopodobnie Ralf Ravington był główną sprężyną, a Alfred Robber i doktor Morizano tylko jego pomocnikami.

Cała nadzieja hrabiego Zamskiego polegała teraz tylko w Marcelim Remy.

Wczoraj oczekiwał go zapewne w hotelu Royal, lecz Kazimierz nie przyszedł. Z tego musiał wnioskować, że zatrzymano Zamskiego w więzieniu. Młody porucznik będzie się starał odwiedzić go w jednym z londyńskich aresztów. Przy tej sposobności wyjdzie na jaw, że Kazimierz wogóle nie został zaaresztowany. Z drugiej strony wiedział także, że w tym domu może rozpocząć poszukiwania.

Kazimierz myślał zupełnie słusznie, tylko niestety nie liczył się z przebiegłością doktora Morizano, który naturalnie przewidział ten wypadek.

I rzeczywiście drugiego dnia rano Marceli Remy zjawił się w zakładzie Morizano i wyjawił mu cel swojego przybycia.

„Ach tak", odparł Morizano, „jeżeli się nie mylę, to ten pan był polskim hrabią. Właśnie przed godziną ten sam komisarz zabrał go ze sobą!"

Marceli Remy nie mógł nic odpowiedzieć na to twierdzenie, ponieważ nie wiedział, że ów komisarz był przebranym bandytą.

Wobec tego zrobił doniesienie do policji o tajemniczem zniknięciu hrabiego Zamskiego. Elza Rodeń zrobiła także doniesienie.

Biedna Elza! — Czekała napróżno ze śniadaniem na Kazimierza. Zawołany kelner objaśnił ją, że hrabia Zamski prawdopodobnie przez całą noc nie był w swoim pokoju.

„Niemożebne!" zawołała Elza i zerwała się.

Lecz po chwili przekonała się, że łóżko było nienaruszone.

Portjer powiedział jej, że hrabia wczoraj wieczór wyszedł z hotelu i dotychczas nie powrócił.

Czekała cały dzień; wreszcie zaniepokojona, zrobiła doniesienie do policji.

Urzędnik policyjny zapisał obojętnie nazwisko zaginionego, gdyż w Londynie, liczącym prawie sześć miljonów mieszkańców, podobne sprawy są na porządku dziennym. Zresztą policja londyńska nie spieszy się nigdy z załatwieniem takich spraw, jeżeli zainteresowana strona nie pozostawi w ręce urzędnika paczki banknotów.

Kazimierz tymczasem wyglądał przez okno na morze, oblane tajemniczem światłem księżyca.

Przed jego oczyma przesuwała się cała przyszłość i wszystkie ukochane osoby, a na ich czele — Anielcia.

Ha, co to było? Znowu pukanie? To nie był przypadek — te tony były widocznym znakiem!

Kazimierz słuchał z natężeniem. Pukanie było coraz silniejsze i odzywało się w pewnym systemie.

Nie były to uderzenia młotka, lecz raczej drapanie i skrobanie po murze, jakby jakieś zwierzę szukało sobie drogi.

Kazimierz był przekonany, że tam w drugiej celi starał się ktoś wyłamać dziurę w murze.

W jednej chwili przyłożył ucho do muru i słuchał. Zdawało mu się, że posłyszał cichą rozmowę. Kto to mógł być? Obłąkani?

Przeszła godzina. Nagle zauważył biedny hrabia, że na jednej stronie spada tynk z muru.

Zegar, znajdujący się w pobliżu „zamku szczurów", wydzwonił równocześnie dwunastą godzinę.

Jakby na umówiony znak wypadł z muru kamień, tak, że Kazimierz mógł teraz spojrzeć do sąsiedniej celi.

W otworze pokazała się wychudła, biała ręka. Kazimierz pochwycił ją i szepnął:

„Nie bój się, nieszczęśliwy! — Jestem twoim przyjacielem i towarzyszem niedoli —"

Równocześnie zauważył, że obca ręka spoczęła spokojnie w jego dłoni, a o uszy obił się głos, który w pierwszej chwili o mało co nie przyprawił go o utratę zmysłów.

„Jeżeli jesteś hrabią Kazimierzem Zamskim, — jeżeli mię nie myli twój głos, — to niech będzie błogosławiona ta godzina, w której udało mi się przebić mur!"

„Boże, czy to ty, Zygmuncie?" zawołał Kazimierz, zapominając zupełnie o ostrożności.

„Tak jest, mój jedyny przyjacielu! — Jestem hrabią Zygmuntem Sokolskim. Pozwól, że powiększę otwór. Gdy mię zobaczysz, będziesz sądził, że przed tobą stoi straszydło, — tak się zmieniłem!

„Kazimierzu, wyjmuj kamienie w twojej celi!"

„Pomogę ci, Zygmuncie. Jeszcze dzisiaj w nocy musimy ukończyć naszą robotę."

Po obydwuch stronach rozpoczęła się gorączkowa praca.

Robota nie była ciężka, ponieważ kamienie siedziały prawie wolne, a tynk był zupełnie zwietrzały.

Pracowali przeszło dwie godziny. Otwór był tak duży, że człowiek mógł się łatwo przesunąć.

„Czekaj! — Spróbuję przedostać się do ciebie."

Minęło dziesięć długich minut, które dla Kazimierza były całą wiecznością.

Tutaj znalazł wreszcie Zygmunta! On był także — w domu obłąkanych doktora Morizano! Prawie rok cierpi już w tem piekle!

Zygmunt przesunął się tymczasem przez otwór, a po chwili obydwaj mężczyźni trzymali się w objęciach.

„Drogi przyjacielu", zawołał Kazimierz, „wreszcie widzę cię znowu; ileś ty musiał przecierpieć!"

„Spójrz na mnie, a zobaczysz."

Kazimierz nie chciał wierzyć własnym oczom. Był to rzeczywiście hrabia Zygmunt, czy też tylko jego cień?

Przed nim stała naga, wychudła postać mężczyzny, a blada twarz nieszczęśliwego człowieka była pokryta krwawemi wstęgami, — świadectwem męczarni i znęcania nieludzkich dozorców.

„Niech Bóg skarze twoich katów!" zawołał Kazimierz.

„Teraz musimy spróbować, czy nam się nie uda ucieczka", odparł Zygmunt. „Wyjąłem kamienie koło tego komina, przez który wydostaniemy się na dach, ponieważ pod oknami i przy drzwiach stoją dozorcy. Lecz skąd weźmiemy linę?"

„O tem pomówimy poniżej“, rzekł Kazimierz. „Lecz powiedz mi, kto ci pomagał w twojej pracy?“

Zygmunt zbliżył się do otworu i zawołał na swojego towarzysza niedoli. Po chwili zobaczył Kazimierz nagiego mężczyznę, którego piękne niegdyś oblicze było obecnie zeszpecone zwierzęcym wyrazem.

„Jednego dnia“, przemówił Zygmunt, „wrzucono go do mojej celi. Z początku byłem ciągle w niebezpieczeństwie, ponieważ obłąkany chciał mię zamordować. Lecz z biegiem czasu zdołałem się z nim porozumieć. Teraz miewa nawet chwile przytomności, w których zdaje sobie sprawę ze swojego położenia. Dlatego postanowiłem uciec z nim z tego więzienia.“

„Nie wiesz, kto to jest?“

„Jakiś Niemiec. Zapewne był adwokatem, ciągle bowiem mówi o procesach. Wymawia także jedno imię, które nam przyniosło tyle nieszczęść!“

W tej samej chwili nieszczęśliwy obłąkany zawołał drżącym głosem:

„Lola, — Lola!“

„Wiesz, jak się nazywa?“ zapytał Kazimierz.

„Albert. Więcej nie mogłem się dowiedzieć. Wspomina matkę, jakieś miasto nad Wartą i czasem rzuca się po celi jak dziki!“

„Kto go tutaj przywiózł?“

„Nie wiem!“

„Albercie, uciekniesz z nami?“ zapytał Zygmunt obłąkanego.

„Albertowi zimno!“ zaśmiał się nieszczęśliwy. — — „Gdzie słońce, — Lolu, podaj mi rękę. — Te mnie jeszcze zabijesz! — Ha, przeklęta kobieto, — — sędzia śledczy, — — zdradziłaś mnie —!“

— — — — — —

„Opowiedz mi, Kazimierzu“, rzekł Zygmunt po chwili, „co nowego na świecie! Jak się powodzi mojej drogiej Elżutce? Ach, ciągle myślę o niej i zdaje mi się, że słyszę jej głos, wołający o pomoc! — Biedna, chodzi po zamku Sokolskich i wpatruje się w mój obraz!“

„Zygmuncie“, odparł Kazimierz zaniepokojony słowami swojego przyjaciela, „nie pomyliłeś się! Elżutka Rodeń opłakuje cię ciągle. Chodzi w żałobie, lecz z drugiej strony jest silnie przekonana, żeś nie umarł!“

„O, przeczucie miłości nie pomyliło drogiej Elżutki! — Nieprawda, Kazimierzu, — panna Rodeń robiła za mną poszukiwania?“

„Tak jest! Poruszyła niebo i ziemię, — niestety napróżno. Zwróciła się nawet do najsłynniejszego detektywa w Europie; Edwin Lister szukał cię po całym świecie.“

„Co, Edwin Lister?“ zawołał hrabia Zygmunt Sokolski stłumionym głosem. „Do niego zwróciła się Elżutka? Jemu oddała całe śledztwo? — Ah, teraz rozumiem, dlaczego nie otrzymałem pomocy. Edwin Lister przywiózł mię do tego domu.“

„Edwin Lister“, odparł Kazimierz, „on, — ten detektyw?“

„Tak jest!“ szepnął Zygmunt. „Przypominam sobie dokładnie całe zajście. Razem z Edwinem Listerem znajdowałem się w Berlinie w hotelu „Kaiserhof“. Nagle zauważyłem, że tracę przytomność. Gdy się zbudziłem, byłem już w domu obłąkanych. Nie wiem tylko, dlaczego dopuścił się takiej zbrodni!“



Mauermayer, Wajsówna i Mollenhauer, trzy gwiazdy w rzucie dyskiem, podzieliły się trzema medalami olimpijskiemi.

„Zaraz ci to objaśnię“, rzekł Kazimierz. „Przypominasz sobie, żem w Ameryce odnalazł Anielcię?“

„Tak jest! Co się stało z mojem nieszczęśliwem dzieckiem?“

„Byłem oniemiały i nie mogłem widzieć tej kobiety, która mię wyratowała z rozbitego pociągu. Powiedziała, że jest Anielcią, — a jej uwierzyłem. Tymczasem była to Lola, — nasz wspólny demon. Wówczas w hotelu „Kaiserhof“ miałeś zobaczyć Anielcię. Jedno twoje spojrzenie byłoby odkryło całą intrygę. Jestem przekonany, że pomiędzy Lolą a Edwinem Listerem istnieje jakiś tajemniczy związek. Ratując Lolę, — usunął cię z drogi i umieścił w domu warjatów.“

„Ciągle ta Lola“, zawołał hrabia Zygmunt. „Ta kobieta jest nieszczęściem mojego życia. Dotychczas prześladuje mię nierozważny krok młodości. — O, gdybym był wówczas nie złamał wiary biednej Almie! Przewrotna Arabella usidliła mię swoimi wdziękami! Przeklinam wiecznie tę kobietę, — i Lolę, którą wydało jej grzeszne łono!“

„Twoje przekleństwo już się sprawdziło“, zawołał Kazimierz. „Lola zamordowała własną matkę, — Arabella nie żyje, a jej wyrodną córkę zamknięto w więzieniu.“

„Boże, niezbadane są Twoje drogi“, odparł poważnie Zygmunt.

„Arabella nie żyje, zamordowana przez własną córkę. Kazimierzu, jesteśmy pomszczeni!“

„Tak jest“, potwierdził hrabia Zamski, — „a może w tej chwili stoi na rusztowaniu i za kilka sekund zakończy swoje występne życie.“

Słowom Kazimierza towarzyszył szalony, przeraźliwy śmiech obłąkanego. Obydwaj mężczyźni obrócili się i zobaczyli nagiego Alberta.

Jego oczy straciły nagle szklany wyraz, a w twarzy nieszczęśliwego odbijała się skrucha, rozpacz i zwątpienie.

„To nieprawda!“ zawołał Albert. „Głowa Loli nie spadnie na rusztowaniu, Lola jest wolną, jak ptak w powietrzu!“

„Co to znaczy?“ rzekł Zygmunt, „ten obłąkany wie coś o Loli! Biedny Albercie, powiedz nam, co się stało z Lolą?“

„Haha, — przez tę kobietę zostałem zwierzęciem. Niedawno temu byłem jeszcze słynnym adwokatem. Sąd wyznaczył mi obronę matkobójczyni Loli.

„Oh, — przez tę kobietę straciłem nietylko rozum, — lecz co gorsza i honor. Mój lekkomyślny krok odebrał mi matkę i rodzinę. Lecz pomimo tego oddałbym życie, jeżelibym mógł zobaczyć jeszcze raz mojego demona. Haha, panowię, widzicie te wychudłe ramiona? Własnoręcznie odbiorę jej życie, bo zemsta jest najsłodszą rzeczą na świecie! Uwolniłem ją od kata, lecz sam zostanę teraz jej katem!“

Zygmunt i Kazimierz spoglądali z niedowierzaniem na obłąkanego adwokata. Po chwili Kazimierz pierwszy przerwał milczenie:

„Zygmuncie, pytałeś mię, czy Elza Rodeń mieszka jeszcze w zamku Sokolskich. Otóż muszę ci wyjawić, że jej już tam dawno niema!“

„Jakto?“ zawołał Zygmunt drżącym głosem, „opuściła mój zamek? Cóż się stało z biedną Almą i Walentym? Gdzie mieszkają?“

„Zmusił się do tego nieprzewidziany wypadek. Nowy właściciel kazał im opuścić zamek!“

„Nowy właściciel? Nie pojmuję tego!“

„Baron Sokolski-Lubsza objął w posiadanie twoje dobra!“ odparł Kazimierz. „Sąd oddał mu majątek w zarząd. Jeżelibyś po roku nie powrócił, to cały spadek przejdzie na jego własność.“

„Uciekajmy“, zawołał hrabia Sokolski, „nie pozostaje nam nic innego, jak wydostać się na dach przez komin.

Z dachu zwrócimy na siebie uwagę przechodniów, albo spuścimy się na dół po piorunochronie. Albercie, — chodź z nami. — Dalej, nie traćmy czasu, może nas Bóg nie opuści!“

Przedewszystkiem trzeba było wybić dużą dziurę, by się dostać do komina. Minęła godzina mozolnej pracy, zanim nasi bohaterowie zdołali wydrążyć odpowiedni otwór.

„Sprzyja nam szczęście“, zawołał nagle Zygmunt. — „W tym kominie znajduje się żelazna drabina, która służy kominiarzowi do wychodzenia na górę.

„Na dach dostaniemy się łatwo. — Dalej, chodźcie za mną.“

Zygmunt wsunął się do komina, a za nim Kazimierz i Albert. Trzej więźniowie zaczęli się teraz wspinać po drabinie przymocowanej do muru, — i po chwili otoczyła ich nieprzenikniona ciemność.

Po upływie dziesięciu minut Zygmunt i jego towarzysze ucieczki wydostali się na dach, który jednak był nadzwyczaj pochyło zbudowany i dlatego każdy nierozważny krok groził pewną śmiercią.

Na szczęście dokoła dachu biegła mała galeryjka, która w ostateczności mogła zatrzymać toczące się ciało.

Zygmunt zbliżył się do ogrodzenia i spojrzał na dół. Na całym placu oblanym światłem księżyca nie było widać ani jednego człowieka.

Nieszczęśliwi więźniowie wciągali chciwie do płuc nocne, świeże powietrze i spoglądali na morze domów. W dali było widać most Tower, potężny gmach Westminsteru i wiele innych znanych budowli.

Tam na dole wrzało życie. Lecz przepaść dzieliła ich od ludzi i od wolności.

Tymczasem Kazimierz zbliżał się ostrożnie do rynny i po chwili stanął na samym końcu dachu.

„Kazimierzu, wracaj“, zawołał Zygmunt, — „jest jaka nadzieja?“

„Niestety, niema żadnej!“ odparł Kazimierz. „Mury spadają prostopadle. Bez drabiny nie zejdziemy z tego dachu.“

Cisza zapanowała dokoła. Po długiem milczeniu Zygmunt zwrócił się do swoich towarzyszów i rzekł:

„Musimy wybierać między naszem więzieniem, albo też wytrwamy w naszem położeniu, dopóki nas jutro nie zobaczą przechodnie. Jeżeli jednak i ta nadzieja zawiodłaby, to rączej zrezygnuję z życia, aniżeli bym miał powrócić do tej celi, w której mię niemiłosiernie męczono. Dlatego wracaj, Kazimierzu, do więzienia, a ja rzucę się z dachu na bruk. Jutro znajdą mię z roztrzaskaną głową; policja będzie zmuszona zrobić rewizję w zakładzie doktora Morizano i wpadnie prawdopodobnie na wasz ślad. Tylko w ten sposób otworzą się przed tobą drzwi tego więzienia...“

„I myślisz, że się zgodzę na taką ofiarę?“ zawołał Kazimierz drżącym głosem. „Albo będziemy żyć wszyscy, albo też umrzemy wspólnie.“

„Kazimierzu, myśl o Anielci! Co się z nią stanie, gdy ciebie nie będzie?“

Kazimierz wstrząsnął smutnie głową.

„Kto wie, czy Anielcia jeszcze żyje. Może czeka na mnie tam w górze!“

„Więc umrzemy razem“, zawołał Zygmunt stłumionym głosem i podał rękę Kazimierzowi.

„W takim razie nie zapomnijcie o biednym obłąkanym“, wtrącił nieszczęśliwy adwokat. „Śmierć jest dla mnie koniecznością.“

Zygmunt wyciągnął do niego swoje ręce i zawołał uroczyście:

„Niech się stanie twoja wola!“

— — — — — —

Na dachu zakładu doktora Morizano stało trzech mężczyzn. Na ich twarzach malowało się silne postanowienie. Księżyc schował się za widnokręgiem, a niebo pokryło się chmurami, jakby chciało uniknąć widoku, który miał się teraz rozegrać na dachu domu obłąkanych.

Trzej mężczyźni upadli na kolana, a Zygmunt, spojrzawszy ku niebu, zawołał donośnym głosem:

„Nieśmiertelny Boże, zlituj się nad naszemi duszami i odpuść nam ten grzech śmiertelny, że kończymy gwałtownie to ziemskie życie. Wiesz, że tylko straszne położenie zmusza nas do tego kroku. Boże, Stwórco najwyższy, zlituj się nad twoimi sługami i przyjm ich łaskawie do Twojego królestwa. — Amen!“

„Amen!“ rozległo się jak głuche echo z ust Kazimierza i Alberta.

Na dachu zapanowała znowu cisza. Nieszczęśliwy obłąkany podał rękę Zygmuntowi i Kazimierzowi i po chwili zbliżył się do rynny.

Hrabia Sokolski i Zamski śledzili z niepokojem ruchy biednego adwokata.

Nagle Albert podskoczył do góry w tej samej sekundzie rzucił się na bruk.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela dnia 16 sierpnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa 10.30 Muzyka 11.05 Transmisja z Salzburga „Muzyki współczesnej” 13.25 Poranek muzyczny z Wilna 14.30 Audycja dla wsi 15.30 1000 taktów muzyki 16.30 Reportaż z życia 17.50 Transmisja z 11 Olimpjady — zawody konne o puhar narodów oraz zamknięcie Igrzysk 18.35 Podwieczorek przy mikrofonie 21.00 „Konie z pary uwiane” — aud. literacka 21.30 Recital Marji Dońskiej 22.00 Transmisja i wiadomości z 11 Olimpjady oraz ‚bilans udziału Polski w 11 Igrzyskach Olimpijskich” 22.35 Duety i pieśni J. Popławski i K. Czekotowski 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 17 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Słynni wirtuozi (płyty) 16.00 Koncert popularny z Ciechocinka 17.00 Koncert solistów z Krakowa 19.00 Potpourri i wiązanki jazzowe z płyt 19.30 Koncert reprezentacyjnej orkiestry PKP. 21.00 „Symfonja dnia letniego” — reportaż Celiny Nahlik 22.00 „Niemcy pod wrażeniem Igrzysk Olimpijskich” — feljeton 22.25 Muzyka salonowa i taneczna.

Wtorek, dnia 18 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 „Letnie nastroje” — koncert 16.00 Fragmenty z oper Ryszarda Straussa 17.00 Koncert z ogrodu zoologicznego w Poznaniu 19.00 „O piętro wyżej” — operetka 21.00 Koncert w wykonaniu Polskiej Kapeli Ludowej 22.00 „Za kulisami Olimpjady” — feljeton 22.25 Muzyka taneczna z Ciechocinka oraz z płyt.

Środa, dnia 19 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Muzyka z płyt 16.00 Koncert zespołu salonowego Pawła Rynasa 17.00 Trio Polskiego Radja i solista Janusz Nowak (bas) 17.50 „Anegdoty z życia Heleny Modrzejewskiej” 19.00 Koncert Małej Orkiestry i solistów 20.00 „Słynne symfonje” — trzecia audycja 20.30 Wędrówka mikrofonu po prowincji 21.00 Szósta audycja z płyt „Utwory Fryderyka Chopina” 21.30 Śląskie pieśnie ludowe 22.00 „Co mówi Europa o minionej Olimpjadzie” 22.25 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego i muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 20 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Koncert południowy 15.45 „Ach te wróble” — audycja dla dzieci 16.00 Koncert z Ciechocinka 16.45 „Nauczyciel a obrona narodowa” — odczyt 17.00 Recital skrzypcowy Szymona Bahmana 17.25 Bolesław Wojtowicz gra swój koncert fortepianowy 17.50 „Pani na wywczasach” — pogadanka 19.00 „Gałązka Oliwna” — słuchowisko Jana Parandowskiego 19.45 Koncert muzyki węgierskiej 21.00 „Nasze pieśni” 21.15 Koncert muzyki salonowej 22.00 „Po Olimpjadzie” — wywiad z prezesem Pol. Kom. Olimp. płk. Glabiszem 22.25 Muzyka lekka i taneczna.

Piątek, dnia 21 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Z repertuaru tanecznego dawnych czasów 16.00 Z utworów Adolfa Adama 17.00 Recital Aleksandra Sienkiewicza 17.30 Glazunow: Koncert skrzypcowy a-moll 19.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 19.45 Muzyka nastrojowa 21.00 Koncert Orkiestry Symfonicznej pod dyr. F. Nowowiejskiego 22.15 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 22 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 14.30 Muzyka rozrywkowa 15.45 „Dzieci z podwórka w lesie” — wesoła audycja dla dzieci 16.00 Koncert solistów 16.45 „Od żaglowca do łodzi podwodnej” — odczyt B. Pawłowicza 17.00 Koncert z ogrodu zoologicznego w Poznaniu 19.00 Koncert rozrywkowy z udziałem solistów 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą „Plony młodej wsi” 21.00 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka 21.30 Dwa skecze: „Strzęp życia” i „Pacjent” 22.00 „Jak wykorzystamy doświadczenie olimpijskie” — wywiad z Gen. Olszyną-Wilczyńskim 22.25 „Przy księżycu” — piosenki i melodje nastrojowe 23.00 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Uzupełnianka

ul. „Egaw“.

k							1) Mały kościołek
	k						2) Nosimy na nosie
		k					3) Imię męskie
			k				4) Działanie odporne
				k			5) Pić — w języku niem.
					k		6) Część świata
						k	7) In. pomoc
					k		8) Środek lokomocji
				k			9) Kolonja francuska w Afryce
			k				10) Aromatyczny odwar roślinny
		k					11) Maszyna do toczenia
	k						12) In. spiritus
k							13) Znany polski śpiewa

Tajemnicze wizytówki

ul. Wlad. Jotcios — Poznań

MARJA IGA - DASKWOSS

EMA DOJZ - MARLEWSKA

Odczytać imiona i nazwiska dwóch polskich popularnych artystek.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 21 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 31 „Moich Powieści“: Krzyżówka: Wyrazy poziome: 1. Rak, 2a Powozik, 4. Rzeka, 5. Korba, 7. Nutry, 8. Tasak, 10. Kasza, 12. Barka, 13. Albin, 15. Droga, 16. Zakrywa, 17. Zła. Wyrazy pionowe: 1. Rower, 2. Kozak, 2a. Plecy, 3. Karat. 4. Artysta, 6. Austrja, 7. Mak, 9. Kra, 11. Arbuz, 12. Broda, 14. Nakaz, 15. Drvga. Szarada:

Nagrody za trafne rozwiązanie przypadły w drodze losowania pp. Ludwikowi Kiełpińskiemu Bydgoszcz, i Janowi Kowalewskiemu, Gniezno.

HUMOR

Gaffa

— Szczęśliwy jestem, że nareszcie panią mogę poznać. Mąż pani tyle razy wspominał mi o swojej drogiej Helusce...

— Hm! Ja mam na imię Petronela...

Kohn w więzieniu

— Teraz się pan musi rozebrać do kąpieli.

— Uf, czy to musi być?

— Taki jest przepis. Zresztą to nic strasznego. Dawno się pan kąpał ostatni raz?

— Przepraszam pana... ja jeszcze dotąd nigdy nie siedziałem w więzieniu !— odpowiada K. z oburzeniem.

Rozmowa między małżonkami

Ona: — Możesz mówić, ile ci się podoba. Jednem uchem słucham, a drugiem wypuszczam.

On: — Nie dziwię się temu wcale, ponieważ między jednem a drugiem uchem nic nie stoi na przeszkodzie. Głowa puściuteńka.

Automobilistka

Pewna pani prowadząc samochód, zauważyła na szosie pracowników telegraficznych wdrapujących się na słup i mówi do siebie:

— Jak to oni wiedzą, że już 10-ciokrotnie skazana byłam za przejechanie ludzi.

Uzasadniona obawa

— Czy pan nam pozwoli rozłożyć obóz na tej łące? — pytają „campingowcy" właściciela gruntu.

— I owszem, jeżeli państwo nie jesteście zwolennikami odżywiania się surowiznami... — odpowiada zapytany z pewnem wahaniem.

W sądzie

Po otrzymaniu wyroku zasądzającego na karę pieniężną za pijaństwo, oskarżony protestuje:

— Panie sędzio, ja nie byłem pijany, ja byłem tylko pod gazem.

— A to co innego. Wobec tego skazuję pana nie na tydzień, a na siedem dnia aresztu.

Tyle, co Venus

— Moja żona, powiada Izydor, waży tyle co Venus Milońska.

— Uś ty warjat !— woła Moniek — kogo ty idziesz bujać? Twoja żona waży conajmniej 200 kilo netto!

— Nu, a czy Venus waży mniej? Przecież ona jest z marmuru.

Szczery

— Żeniąc się z moją córką, będzie pan miał towarzyszkę skromną, dobrą, rozumną, inteligentną...

— Wiem o tem. Wszyscy mi to mówią.

— Doprawdy?

— Tak. Zapewniano mnie, że jest wcale nie podobna do swych rodziców.

Ich argumenty

— Ciekawa historja, jak się Niemcy wytłómaczą z zarzutów stałego uzbrajania?

— Można ręczyć, że argumenty ich będą jak zwykle rozbrajające.

Tak to bywa

— Dostałem rozwód. Dzieci zostały przy żonie, a ja zatrzymałem mieszkanie.

— A majątek?

— Majątek? Majątek zatrzymał adwokat.

W teatrze podczas antraktu

— Mnie się ciągle zdaje, że ja pana już gdzieś widziałem!

— Bardzo możliwe, bo ja tam czasem bywam

Potęga wiedzy

Pewnego dnia niedowiarek rozmawiał z wierzącym o wskrzeszeniu Łazarza.

— Musisz jednak przyznać, że obecnie nie mogłoby się zdarzyć, żeby umarły wstał z grobu...

— Masz zupełną rację — odparł niedowiarek. — Od tego czasu medycyna uczyniła tak wielkie postępy.

Całe szczęście

— Co za szczęście! Zostawiłem w tramwaju parasol, który mi pożyczyłeś.

— Jakież w tem szczęście?

— Mogłem przecież zostawić własny, gdybym nie miał twojego!

Usłużność

— Chłopcze, możesz mi pokazać, gdzie mieszka pani Drabikowa? — pyta pani chłopca na podwórzu.

Chłopiec prowadzi panią na szóste piętro i pokazuje drzwi.

— O, tu mieszka, ale jej teraz w domu niema, jest na dole w bramie u stróża.

Pierścionek

— Jak wyglądał pierścionek, który pan zgubił?

— No, jak miał wyglądać? Jak prawdziwy!

To muzyka

Właściciel domu: Przy wynajmowaniu mieszkania wyraźnie powiedziałem panu, że nie znoszę muzyki w swoim domu, a tymczasem żona pana niemal całemi dniami grywa na fortepianie.

Lokator: I to pan nazywa muzyką?

Febra

Lekarz. Czy bardzo pana w nocy trzęsła febra? Zęby głośno panu szczękały?

Pacjent: Nie wiem panie doktorze, bo zamknąłem je w nocnym stoliku.

W sądzie

Sędzia: — A teraz proszę powiedzieć, w jaki sposób oskarżony otworzył kasę pancerną.

Oskarżony: — Wykluczone, panie sędzio, mogę zeznać tylko przy drzwiach zamkniętych. Na sali znajdują się konkurenci.

Oczywiście

— Pisarczyk, dokąd to się pan wybiera?

— Idę się ostrzyc !

— Jakto, w godzinach urzędowych?

— Przepraszam pana, dyrektorze, ale włosy urosły mi również w godzinach urzędowych.

Pracowity

— Ty leniuchu, ty nic nie robisz?

— Jakto nic? A kto dzisiaj skończył 25 lat, jak nie ja?!!!

Przyjaciółki

— Czy wiesz, że Franek oświadczył się pięć razy, zanim go przyjęłam?

— Co ty mówisz? A komu oświadczył się te pierwsze cztery razy?

Zimna krew

Ojciec (do amanta córki) — Moja córka nie może wyjść zamąż za idjotę!

Odtrącony amant: — Doskonale! Pan chce uchronić ją przed losem, jaki spotkał pańską małżonkę.

Miłość

— Najdroższy, kiedy pomyślę, że jestem pierwszą kobietą, którą pokochałeś!

— Tak, moja jedyna!

— I kiedy pomyślę, że ty myślisz, że ja tak myślę...

Roztargniony

Profesor, wydobywszy się mozolnie z dołu z wapnem, do którego wpadł: — Hm... czego ja tam właściwie chciałem?

Nazwa

Do apteki wchodzi pewien stary lekarz i powiada do aptekarza:

— Proszę mi dać pięćdziesiąt gramów liquoris plumbi acetici purissimi.

— Pan myśli „płynu Burowa"?

— Tak. Nigdy jakoś nie mogę zapamiętać tej skomplikowanej nazwy.

Ratunek

Do pana Gzymsa wpada jego najlepszy przyjaciel i woła od progu:

— Mój drogi, jestem zrujnowany! Tylko ty jeden możesz mnie uratować! Tylko samobójstwo jest w stanie...

— Ach, już wiem — przerywa mu Gzyms uradowany — poprostu chcesz pożyczyć odemnie rewolwer.



O — dzisiaj wygląda pan już o wiele lepiej!...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.